

Jan Lemański

## Ofiara królewny

Pewien królewicz bardzo a bardzo kochał swoją królową. Duszą była mu ona: myślą i pięknem, życiem i światem.

Długo, długo królowa znosiła to, aż pewnego razu powiada do królewicza:

— Mój kochany, czyś ty bardzo mocny?

— Dostyc — powiada królewicz.

— Czy króla Ćwieczka pobiliś?

— Pobiliś.

— A króla Gwoździka?

— Pobiliś.

— A króla Sztyf cika?

— Także.

— A gdyby tak zebrali się na ciebie wszyscy, wszyscy?

— Wszyscy? Wszystkim to może bym nie poradził.

— I pobiliby cię?

— Zapewne.

— Tak? I bylibyś taki biedny? biedny?

Tu królowa zaczęła gorzko wzdychać. Objęła królewicza za szyjkę i całowała go w usta, a serduszko jej ścisnęło się, jak gdyby żegnało królewicza na zawsze.

Upieściwszy królewicza, królowa zamknęła się w swojej sypialni i tam pisała sobie w swoim dzienniczku.

...Biedny królewicz! Pobity od wszystkich!... Żegnam cię sercem. Pauvre enfant! Jakże ci będzie smutno żyć beze mnie...

...Pełnam niepokojów i pożądań niewiadomych nikomu, Pragnęłabym poznać kogoś takiego, który by wszystkim dał radę i któremu ja bym ulec chciała.

...Znam, eo jest być kochaną... ah, mon Dieu! tylko przez

31

królewicza! Nie wiem, co znaczy kochać... innego niż królewicz!

Nazajutrz królewicz, który wykradał nieraz dzienniczek królowie, przeczytał tę ostatnią jej notatkę i bardzo się zmartwił. Co tu robić — myśli. Poszedł do swego Wezyra z dzienniczkiem, pokazał mu i powiada:

— Radź!

Wezyr przeczytał, przeczytał i pomyśliwszy rzecze:

— Królowa tęskni do ideału. Hm... niedobrze jest. Królewicza jakby coś żgnęło w serce.

Powiada:

— I cóż na to się robi?

— Są dwa sposoby. Jeden: mogłaby Wasza Mość sama zostać ideałem.

— Zostanę. Wszystko zrobię, byle królowa nie tęskniła.

— Ho, ho, nie tak prędko zostaje się ideałem w oczach królowy, skoro raz oceniła naszą niedoskonałość. To sposób niepewny.

— Więc cóż robić?

— Trzeba królownę opuścić i pozwolić jej na szukanie sobie ideału samej. Ta jedynie ofiara może królowny serce Waszej Mości zwrócić.

Królewiczowi zrobiło się przykro. Co widząc, Wezyr zwiększył przekonawczość tonu i rzekł:

— Jeżeli ideał znajdzie, to dobrze: wszak Wasza Mość pragnie jej szczęścia. Niech je ma. A jeżeli nie znajdzie, to do Waszej Mości zatęskni. I to będzie Waszą osłoda i pociechą za ofiarę.

Królewicz westchnął. Wezyr przekonywał dalej.

— Żeby zaś upozorować to opuszczenie, należy rozgłosić, schowawszy się gdzieś uprzednio, że Wasza Mość została przez króla Ćwiczka pobita i wzięta do niewoli. Królowna pojedzie niby to szukać Was, a w rzeczy będzie rada poznać się z Waszej Mości zwycięzcą. My zaś tu zostaniemy i będziemy idealnieć i doskonalić się. Zgoda? A może też kiedy z czasem...

32

W królewicza wstąpiła otucha.

— Dobrze — rzekł. — Zgadzam się. Rządź mną i kieruj, bo moja myśl za bardzo strapiona.

I tak się stało. Królewicz z Wezyrem ukryli się w parku, rozgłosiwszy uprzednio o mniemanej królewicza porażce, i mogli ze schowania swego widzieć, jak królowna, nie bardzo zmartwiona, odjechała w kierunku posiadłości króla Ćwiczka.

II

Łatwiej spełnić ofiarę, niż jej nie żałować. Więc i królewicz po odejście królowny zapłakał i jął się uzalać. Wezyrowi też było cokolwiek markotno. Ale że Wezyr z urzędu obowiązany jest wszystko umieć wyperswadować sobie i innym, wkrótce odzyskał humor i zaczął pocieszać królewicza.

— Czym jest szczęście? Czy ten jest szczęśliwy, kto o królownie myśli z tęsknotą? czy ten, kto ją, królownę, bez myśli i tęsknoty posiada? Czym jest byt króla Ćwiczka? Tkwieniem w podszewie, czyli tkwieniem w kończynie obuwia kończyny, czyli tkwieniem w najskońcześniejszym skończeniu. Co podlega skończeniu to istotnością być nie może. Istotnością jest nieskończoność, więc idea, więc MYŚL. Skoro myślą Waszej Mości jest szczęście królowny, tedy naprawdę nie Ćwiczek, tylko Wasza Mość jest szczęśliwa.

Królewicz podniecony rozumowaniem Wezyra ożywił się trochę i nawet wpadając w jego ton argumentacyjny, powiedział:

— Ale czy skończoność, czy nieskończoność, czy cokolwiek będziemy uważali za szczęście, to jest ono albo moje, albo cudze. Ponieważ jam nieszczęśliwy, szczęście więc moje posiada kto inny...

Tu królewicz, rzucając rozumowanie, które mu tak bolesny ukazało wniosek, zapłakał.

I Ofiara królowny

33

— Kto inny ma moją królownę — rzekł płaczliwie, a najpłaczliwiej: — Ach, ma ją król Ćwiczek.

— Widzę — zawołał Wezyr — że Wasza Mość zanadto ma, z przeproszeniem, ćwiczka w głowie. «Cudzość» jest wymysłem najlichszego gatunku, bo powstałym z niedołęstwa myślowego. Tam się «cudzość» zaczyna, gdzie nasza myśl, czyli nasza prawdziwa własność, nie sięga. To nasze, co myślą ogarnąć jesteśmy zdolni. Ćwiczek myślą ogarnia tylko podeszew buta, i to jest jego własnością, a co jest wyżej ponad butem, to już dla Ćwiczka stanowi cudzość. «Cudzość» to cielesność. Kto o nią walczy, kto jej się czepia, zamiast o władnąć duchem, ten staje się igraszką bezmyślnej uludy. «Cudzość» złuda swoją prowadzi do walk konkretnych tam, gdzie powinna być tylko emulacja myśli. Złuda ta przypomina złudę owego prostaka, który zabił kure złote jaja rodzącą, ażeby mieć więcej tej «jajości», czyli własności złotej!

Ale królewicz zrozumiał z tego tylko, jedno.

— Ba — powiada — kiedy pomyślę, że może tę cielesność, czyli cudzość, już nie mają, niestety, całuje teraz król Ćwieczek...

— E — ofuknął biedaka Wezyr: — Królewiczu! Każdy bierze z życia tylko pewną ilość, stosownie do swoich uzdolnień. Jeżeli król Ćwieczek ryfa, to jużci nie zabierze Waszej Mości tego, co jej się, nawet w tym samym przedmiocie należy i co nie dziś, to jutro może być wyegzekwowane. Jeżeli zaś tenże Ćwieczek jest duchem wyższym... to by się z Waszą Mością utożsamił, czyli że jego szczęście konkretne byłoby Waszej Mości szczęściem idealnym, i cokolwiek on mógłby czuć w rzeczywistości, to Wasza Mość czuć by mogła to samo w pomysłeniu, czyli żywiej, a nawet żywotniej, boć myślą jest żywot... Tak, wiem, co chcesz mi Wasza Mość zarzucić. Jeżeli — powiesz — królowna jest wodą i jeżeli ktoś umył już w niej choćby tylko nogi, to ja, królewicz, chcący się wykapać w niej całkowicie, znajdę wodę zabrudzoną. Na to odpowiem Waszej Mości, że kobieta jest jak rzeka z wodą bieżącą, czerp, brudź, zawsze bę-

34

dzie czysta i niepamiętna, i gotowa do nowych obmywań.

— Czysta po wierzchu, a na dnie muł i brud osiada.

— Toteż nie trzeba domacywać się dna wody, bo się zmęci, a tylko, samemu będąc niebem pogodnym, w rzece się niezmaczonej przeglądać.

— Wolę jednak, żeby królowna była nie rzeka, jeno oceanem: w płytkiej rzece zwykle się brudu można dogrun-tować, ale ocean, choć najbardziej wstrząsany burzą, zawsze czysty.

— O królewiczu, królewiczu! jak nieopatrznie twoje życzenie! Niechaj królowna już będzie rzeką, płytką, wąską, ale słodką, niżli przepastnym, szerokim oceanem, ale gorzkim.

— Gorzkim, mówisz? Pewnie, że gorzkim.

III

Tak rozmawiali królewicz z Wezyrem, wędrując po świecie, po szerokim. Idą sobie. Wezyr kijkiem, szach mach, ucina główki ostom przydrożnym, pośpiewuje. czasem królewicz obejrzy się, zapłacze... I idą.

Przechodzili koło ogrodów nieznanych, gdzie gęstwina tała coś i strzegła milczeniem. Zza gęstych płotów zwieszały się pęki ziół i pachniały; nad płotami i ziołami rosły krzewy barwne i zasłaniały szczęście «cudze», niewiadome.

— Może by tam wejść i odpocząć? — mówił królewicz.

— Po co? — odpowiadał Wezyr i machnął kijkiem. — Jeżeli tam szczęśliwi, to nie zajrzyjmy im i nie zaglądamy tam, po co przeszkadzać? A jeżeli tam są nieszczęśliwi, to cóż im damy, chcąc sami zabierać? Wyobraźmy sobie, że tam panuje dzuma. To zmusza nas do uciekania. Raz, dwa, trzy — uciekajmy!

I uciekali... od szczęścia.

35

I

Zmęczeni ucieczką, przysiedli na odpoczynek.

— Co robi teraz królowna? — westchnął królewicz.

— Co robi? — rzekł Wezyr i spojrzął na słońce. — Godzina przedwieczorna. Królowna siedzi w ogrodzie, między dwiema lipami, na ławie kamiennej, nad wodą zieloną. Lipy kwitną, żaby wzdychają... Nikt tam nie przyjdzie, bo ścieżkę zna tylko ona i stary ogrodnik.

— Nie mówisz mi prawdy. Widzę, wyraźnie widzę przy niej króla Ćwieczka. Coś mówi... Patrz, bierze ją na kolana... całuje... Cisza ich ogarnia... Nic nie mówią... tak długo nic nie mówią! O, bądź przeklęty ze swoimi radami!

— Królewiczu, jeżeli ty masz zdolność jasnowidzenia na swoją niekorzyść, to ja za to mam dar jasnopatrzenia z uwzględnieniem twojego dobra. Podług mnie, królowna albo kocha, albo nie kocha. Jeżeli kocha, to nie zdradza, więc jeżeliby zdradziła, to nie warto żałować tego, co nie było kochaniem, tylko czczym jego pozorem, który można znaleźć u jakiej królowny nie bardzo szukając.

— Milcz! Chodźmy do króla Ćwieczka. Muszę go zabić, inaczej oszaleję.

— Posłuchaj, królewiczu. Przypuścimy, żeś go zabił, to cóż zyskujesz? Pochlebiasz królownie, zwiększasz jej próżność, tym samym i wymagania, i im bardziej nie kochała cię wpięrw, tym bardziej nie pokocha teraz.

— Dlaczego?

— Bo tylko u zwierząt samicę podbija się zabójstwem rywala. Królownom zaś, choć o panowaniu nad żądzami niechętnie się wyrażają, tylko to imponuje, tylko ta moc woli rozkazująca żądzom drażni każdą królownę i ostatecznie zmusza ją do uległości. Królewiczom rozgorzałym i niepohamowanym królowna na kochanie siebie może pozwolić, ale sama pokocha tylko żądzy pogromcę. Ufajmy, że tym pogromcą nie jest król Ćwieczek...

— Wszystko mi jedno — zawołał królewicz. — Wymorduję wszystkich Ćwieczków. W braku innych, mnie kochać musi. Czyż na wyspie bezludnej, gdzie tylko dwoje, czyż nie muszą się kochać?

36

— Wszelki mus źle wpływa na miłość. A jeżeliby nawet, to taka miłość bezludna jest też i bez smaku, bez porównań, bez jątrzenia, bez niepokojów, bez łechtania próż-nostek w królownie zakorzenionych. Dla królowny nie dość wybrać. Wybór ten musi być coraz nowymi dowodami stwierdzany; inaczej królowna nie jest pewna jego trafności. Najmilej jest, jeżeli wybór ów może kogoś z niewybra-nych, z odrzuconych, na śmierć zamartwić lub zazdrościć. W naturze samej miłości leży jakaś zagłada. Albowiem coś zginąć musi, aby się coś zrodzić mogło. Chodzi więc tylko o to: co i kto ma ginąć. To ginie, co było drzewem: palenisko zostaje. Zazdrość zabija, bo ci, co zdolni są do jej uczu-wania, z góry już przeznaczeni na zagładę, dla uświetnienia tryumfu wybrańca.

— Ja kpię sobie z zagłady, mój panie, jeżeli wszystkich tryumfatorów pomordowa!

— To nie rozwiązuje położenia. Zabijesz ich ziemską wi-domość, ale nie zabijesz ich w sobie. Nie zdusisz tego głosu, który nieustannie będzie ci szeptał: ten był ładniejszy, ten miłszy, ten mocniejszy, ten... A ja?

— A ja kochałem najbardziej, ja byłem arfą, na której coś grało z rozkoszy i bólu.

— Tak, właśnie. Ten ból i tę rozkosz wygrały jej ręce; skończyły i odrzucają narzędzie z zerwanymi strunami...  
z kiszek baranich.

— O wielki Wezyrze! Rzuć w trawę swoją torbę z sy-logizmami i prowadź do króla Ćwieczka. Proszę cię, chodźmy.

— Chodźmy.

I poszli. Idąc pytał Wezyr:

— A którędy tu do króla Ćwieczka?

— A to półdziecie — odpowiadano — hen tym polem, polem. Dalej będzie półdrożek. Będziecie sobie po tym pół-drożku szli, szli, aż będzie taki jar, a za jarem sosna, a na sośnie kraska, a jak do was zagada, to i wy do niej. A potem będzie gościniec, a z tego gościńca, na lewo, jak strzelił do króla Ćwieczka.

37

IV

Szli tedy polem, polem... A był już wieczór. Naraz królewicz zawołał:

— A jeżeli ich przeżył? Oni zmarli, zabiłem ich, a ja żyję, więc jestem silniejszy, co?

Wezyr, który myślał już o czym innym, ocknął się i powrócił do tej morderczo-ożywczej materii, duszę królewicza oplątującej.

— Nie, królewiczu, mylisz się. To oni, ci pomordowani, ci Ćwieczkowie żyją, w tobie żyją, bo wciąż o nich myślisz, wciąż myśleć musisz. Żyjesz, królewiczu, tylko po to, ażeby oni, jako lepsi, w tobie żyć mogli. Twoja słabość jest w tym właśnie, żeś ich pomordował. Przeciwstawiłeś im siebie, aby istnieć. Nie ma ciebie jako osoby niezależnej duchem. Położenie takie, rozumowo czy odcuciowo w tobie nurtujące, w końcu może doprowadzi cię do tego, że zabijesz siebie, aby oni żyć przestali w tobie. Ale czy przestaną? Unieśmiertelniłeś ich swoją nienawiścią, stworzyłeś ich w niej, w królewnie.

— A gdybym i ją zabił, prócz siebie?

— Zostaną drzewa, które to widziały, zostanie powietrze tym zakłócone, zostanie ziemia krwią znieważona — ziemia, która wyrzuci was z siebie na nową mękę.

— Więc jakież z tego wyjście?

— Wyjścia nie ma. Jest tylko wejście: wejście w siebie — zrozumienie.

— A więc także śmierć? Bo przyznasz, że zrozumieć, wytłumaczyć rzecz, to znaczy ją zabić, zabić w duchu.

— Tak, właśnie. Trzeba zabić coś w sobie, zabić swoje nierozumienie, czyli słabość, a więc stać się mocnym, zwyciężyć.

— I być kochanym? Bo jeżeli nie, to wolę zostać, jak jestem: wolę choć mękę miłości, aniżeli brak jej zupełny.

— Gdy zostaniesz silnym, nie będziesz jej pragnął, tej miłości. Będziesz żył jej samą ideą, pojęciem jej sa-

38

mym, które, jako takie, będzie odtąd zawsze w twojej duszy obecne, a co było niemożliwe przedtem, w stanie n i e-pojmowania. Będziesz żył tą ideą w każdej chwili, nie jak dotąd, dorywczo, pobudzony niektórymi wiązadłami i zawikłaniami form cielesnych, stanowiących królewnę.

— Brr... aż mi zimno. Wezyrze, tyś nigdy nie kochał!

— Com miał kochać? Wszelka królewna nie na to jest, żeby ją kochać, tylko żebyśmy przez nią odczuwali silniej naszą własną doskonałość, jeżeli ją mamy.

— Ależ nie myślisz chyba, że celem natury było, stwarzając kobietę, łechtać twoje wysokie o sobie mniemanie?

— Bynajmniej nie sędzę, aby natura była tak po królewiczowski grubiańska i żywiła nieprzyjemne jakieś cele względem mnie, swego hołdownika, wdzięcznego jej za dary. Gdyby natura zadawała sobie trud mieć cele! Ale mieć cel znaczy być niedopełnionym, czegoś łaknąć. Naturze zaś nic nie brak. Ona jest wszystkim dla siebie, bo w niej jest wszystko. Jest w iniej to, co zdołamy pomyśleć i co zdołamy wymarzyć, i co zdołamy wyśnić i przeczuć, jest w niej jeszcze i to, czego nie widzimy, nie wyczuwamy i co jest dla nas martwe i nie istniejące dotąd, aż sami staniemy się martwością i nicością.

Mina Wezyra, gdy to mówił, stawała się coraz poważniejszą, tak że królewicz przestał go rozumieć i z tego aż poweselał. A rozbawiło go na dobre, gdy Wezyr, z okiem utkwionym w przestrzeń, nie uważał na nogi, potknął się o wykrot, upadł i nabił sobie na czole guza.

— Ha! ha! O mało nie stałeś się nicością i martwością?...

— Na to jeszcze nie dzwonił snadź — jęknął Wezyr. — I cóż by się stało z tobą, mój biedny królewiczu? Z ciebie by to wrony zrobiły nicość bardzo i bardzo szybko. Znikłbyś, jak znika z oczu ten półdrożek, ciemny jak dusza zakochanych.

Tak gderząc, Wezyr rozgarnął trawę, rozesał jej narwanej garściami i na tym posłaniu zaraz legli, bo już noc

39

się zbliżała. Wieczerzy nie jedli, bo nieszczęśliwy kochanek jeść, dla strapienia serdecznego, nie potrzebował, a Wezyr mógł żyć samym pomyśleniem. Toteż wkrótce spał twardo. Tylko królewicz zrywał się jak w gorączce, szeptał coś do księżycy i zdawało się nawet, że płakał. A księżyc przystanął, niby chcąc go pocieszyć. Srebrnymi palcami głaskał królewicza po licu, po białym, i w mowie, dla dusz jedynie zrozumiałej, zwierzał mu się, że i on, księżyc, tęskni do swojej Ziemi ukochanej, ale może ją pieścić tylko z daleka, promieniując ku niej poświatą.

Szli tak, szli, przebyli rzekę jedną, dziesiątą, aż ujrzeli jar, a w jarze sosnę, a na sosnie krasnę, a tę krasnę dziobał jastrząb i już miał ją zadziobać, gdy Wezyr — smyrę kamieniem — ugodził w jastrzębia i przetrącił mu żywot skrzydlaty. Spadł trup jastrzębi, a kraska zatrzepotała barwnymi piórkami i po ludzku rzekła:

— Weźcie mnie z sobą, to się wam przydam.

— Dziękuję — rzekł Wezyr. — Damy sobie radę i sami. Kraska, nieprzygotowana widać na taką odprawę, wdrygnęła się i zaczęła jąkać:

— No jakże to? Oddaliście mi przysługę... Nie mogę tak zostać z niezaspokojoną wdzięcznością...

— A cóż mnie to obchodzi? Nie chcę być obiektem twej cnoty.

— To cóż ja zrobię? Nie mogę nie być wdzięczną.

— Jeżeli nie możesz nie być cnotliwą, to i od niecnoty nie mogłabyś się powstrzymać. A więc, podły ptaku, co się dzieć ma, niech się dzieje.

Usłyszawszy to, kraska zachwiała się, spadła na trawę i zdechła.

Wezyr wziął królewicza za rękę, żeby się na zdechłego ptaka nie gapił, i niedługo już idąc, wkroczyli w jakiś

40

dziwny kraj, podobny do bardzo starannie utrzymanej pustyni.

Była to już Ćwieczkarnia, czyli królestwo króla Ćwieczka. Do pustyni robiło ją podobnym zupełne z drzew огоłocenie. Bory, lasy, gaje, zarośla, ogrody, sady — wszystko wycięto i poprzerabiano na ćwieczki do butów miejscowych oraz zamieszkujących ościenne kraje. Wszędzie stały poustawiane stosy tych ćwieków, podobne do stert, szare z wierzchu od szarug, a w środku, gdy je rozebrać, białe.

Wszystkiemu przewodniczyła w tym kraju idea konkretnego pożytku, ponieważ głównym składnikiem życia tutejszego był pierwiastek żyt. Życiem tu nazywało się: żyt-niówka (esencja żytnia), użytek, używać, przeżytek, przeżywać, pożytek, spożywać, zażywać, nadużywać, wyżywać, zżywać się, dożywać. Uszanowanie pożytku było takie, że gdy sobie kto włosy długie zapuszczał, uważany był za złego obywatela, knującego zamach na społeczną pracę fryzjerów. Ten sam zarzut spotykał i łysych. Dobry obywatel winien mieć co pewien, równo odmierzony czas, włosy obcinane równo jak szczotka.

Tu nawet cienie, które zostały po ścięciu drzew, wykar-czowano i robiono z nich parasolki. Nawet cień każdemu obywatelowi, gdy mu dostatecznie urastał, obcinano, jako rzecz zbytku, niepotrzebnie się po ziemi włączając, o tyle tylko pożyteczną, o ile można ją było sprzedać na eksport. Zamiast cieniów, tam i sam, pozawieszane były na wielkich ćwiekowatych żerdziach płachty, na kształt pokrowców, zasłaniających sąsiednie zadrzewione okolice, ażeby mieszkańcy

nie mogli obalamować umysłów czczym widokiem zielonych i kwiecistych mirażów piękna i żeby, podobni do szkap z czarnymi na oczach klapami, nie mogli zbaczać od pożytku i od wytwarzania użyteczności konkretnych.

Ojciec króla Ćwieczka, król Praćwiek, chciał być nawet — jak mówi historia — nakryć całe państwo jednym wielkim namiotem w kształcie szlafmicy, ażeby i widok nieba nie wpływał na kraj rozmarzające. Ale sejm odrzu-

41

cił ten wniosek, a ?o z tej racji, że ćwieczki, jako w podeszwach bucich całe życie tkwiący, i tak w niebo nie patrzą, wydatki zaś na oświetlenie dzienne, przy mrokach szlafmy-cowych niezbędne, zanadto by szarpnęły budżet.

Opozycjonista, który zwalczał tę niefortunną ideę szlaf-mycową króla Praćwieka, przytoczył, że «i w innych królestwach jest niebo, a przecie nie przeszkadza to obywatelom w pracy, owszem, napęlnia ich żądzą podbicia tych nieużytków pustych, zwanych niebem (nie wiadomo dlaczego), i zrobienia z nich poprzegradzanego, jak na ziemi, i pohipo-tekowanego terenu z wytkniętymi do żeglug powietrznych drogami\*.

Inny mówca, z opozycji nadmienił, że «gdy się niebo szlafmicyą nakryje, wtedy ćwieczki zaczną o niebieskich migdałach myśleć, co może wpłynąć na ustrój Ćwieczkami dysolwujaco». I chociaż zarzut ten, jako nie dość poważny, mało na szali, w sumie opozycyjnych wag, zaważył, jednak ostatecznie wysunięte przezeń na postrach widmo myśli, łącznie z potrzebą zwiększenia światła, w razie szlafmycowości, spowodowało upadek projektu sędziwego, zacnego Praćwieka.

Niemniej przeto, dzięki pracowitemu nawoływaniu różnych zawołanych działaczy, stan uspołecznienia ćwieczków był prawie że doskonały. Obywatel ćwiek, w nic nie zabity, nic nie utrzymujący, nic nie ściągający i w żadnej nie tkwiący dziurce, szydłem w podeszwie przekłutej, uważany był za darmozjada; utleniał się, otoczony powszechną pogardą.

Ćwieczki, dopóki młode, stanowiły idealnie zwarty kloc społeczny, dający się strugać i ociosywać, później, jako indywidua, również trzymały się kupy, złożone w stertę; następnie, też gromadką, pracowały nad wytworzeniem łącznika między podeszwą i przyszwą buta, w ogóle między dwoma kawałami skóry; na koniec, do szpiku przesiąknięte błotem życiowym, umierały, wyszczerzywszy zęby z podartego już chodaka.

Równouprawienie płci było u ćwieczków zupełne.

42

Ćwieczek męski od żeńskiego nie różnił się niczym, ni zewnątrz, ni duchowo. Pewien odcień płciowości nadawało jednak ćwieczkom ich przeznaczenie, a mianowicie ta losowa sytuacja, która spajała ich z obuwiem damskim albo męskim. Ćwiek, w bucie osadzony, uważał się za mężczyznę i jako taki, przy sposobności, nadeptywał pod stołem na trzewik, którego ćwieki, jako żeńskie, uważały nadeptywanie to za całkiem im nieuwłaczające, owszem. Atoli, poza tą podstolnością, kiedy im rodzaj niejako narzucała sama styczność nożna, ćwieczki, same przez się, wskutek owego maszynowego uspołecznienia, zacierającego wszelką indywidualność, były beznamienne, tak że do małżeństwa zmuszano je młotkiem, wbijając w podeszew tuż przy sobie, parkami. Z powszechnej szablonowości ćwieczków, od tej ich budowy na jedno kopyto, wyróżniał się jedynie sam król Ćwieczek łebkiem cokolwiek większym i miedzianym.

VI

Zaraz na wstępie do tego królestwa, niby spod ziemi wyrosły dwa duże ćwieki i zaaresztowały wędrowcom cienie. Ponieważ ani królewicz nie chciał, ani Wezyr od cienia swego się odłączać, musieli więc dać się prowadzić wraz z zaaresztowanymi cieniami. Dwa ćwieki, o pokroju wojskowym, zachowując się względem obcokrajowców możliwie spiczasto i co chwila depcąc

po ich cieniach, przywiedli aresztantów, przez pozawieszaną płachtami okolicę, aż do pałacu królewskiego i tu, wepchnąwszy ich za bramę, odeszli.

Wygnańcom kazano czekać i czekać, i nikt nie przychodził. Wszyscy, snadź po dobrym obiedzie, zajęci byli drzemką. Królewicz wydierał się iść naprzód, aby natychmiast zająć się poszukiwaniem królowny. Wezyr, jako z urzędu obowiązany być rozsądnym, zdecydował, że jeden, to jest

43

t f

on sam, pójdzie na zwiady, a drugi tu poczeka i nie będzie żadnych głupstw robił. I tak się stało. Królewicz, po odejściu towarzysza, jał przyglądać się pałacowi i myśleć, co się też tu mogło królownie podobać? Pałac zbudowany był w kształcie zbliżonym po części do olbrzymiego buta lakierowanego, po części do komina fabrycznego. Po bokach pałacu sterczały balkony w kształcie uszów przy cholewach. Górny otwór cholewy czy też komina dymił sadzą, czy może potem nożnym? Pałac ten oblany był dookoła brudno-czarnym asfaltem, ażeby się nie miał gdzie pokładać cień i wylegiwać. Nie widziałeś tu żadnego drzewka ani krzaczka, ani klombu, ani sadzawki... — A gdzież jest ogród z tą wodą zieloną i z żabami, które widziałem był wówczas? — myślał królewicz. — Był-żeby to miraż? Tak, to Wezyr mi te wizję poddał... Więc może królowna zupełnie co innego robi?...

Podcięty napływem radości, królewicz siadł na asfalcie i oddał duszę na żer słodkiej nadziei. Tak, królowna zbyt czysta, aby miała kapać oczy w zielonej wodzie z żabami... Ale, w takim razie, cóż robi?...

I gorzka myśl królewicza znów legła pod męczeńskie koło domysłów.

A Wezyr tymczasem zbliżył się do pałacu i zadarł głowę do góry dla przeczytania napisu na frontonie:

Lasciate ogni ombra\*.

Przeczytawszy ten napis, Wezyr uczuł w sobie poruszenie gniewu. Przy drzwiach głównych zastąpił mu drogę lokaj, świek bez cienia zarostu i bez cienia jakichkolwiek wątpliwości na gładko wystruganej twarzy, i wskazując na wieszak z pozahaczanymi na nim coś niby okrywkami nisko szarawego koloru, rzekł:

— Pan będzie łaskaw cień zostawić w przedpokoju.

— Idź do diabła! Jestem nietutejszy.

— Rozstańcie się z wszelkim cieniem. (Przyp. autora).

44

Wezyr powiedział te słowa z takim wybuchem gniewnym, że lokaj przestał nalegać i wskazał tylko jakiś ciemny, jak wnętrze cholewy, korytarz i rzekł:

— W takim razie proszę tędy.

Szli po omacku, przy czym Wezyr musiał zwalczać w sobie przykre uczucie upokorzenia, bo zdawało mu się, że jest pchłą, wędrującą w mrokach buta.

Nareszcie lokaj wprowadził go do sali, o ile się zdawało, posłuchań, i zniknął.

W sali, na ruchomym, z żółtej skóry fotelu w kształcie obcasa, siedział król i pilnikiem gorliwie czyścił paznokcie u jedynej swej nogi.

Był sam.

Coś jak aureola spływało mu z czoła miedzianego i lśniło w stali pilnika. Na biurku leżały poukładane graciki w na j skrupulatnie jsze j symetrii oraz wzorzystości, na jaką tylko może się zdobyć podeszew buta, ponabijana ćwieczkami. Oświetlenie sali było tak urządzone, iż żaden przedmiot nie śmiał dawać cienia.

Wezyr uklonił się.



— A co tam? — rzekł król.

— To ja, Wezyr. Przychodzę do Waszej Ćwiczkowości ze skargą. My z królewiczem...

— Więc żyje ten ciemiega? — zadziwił się król. — Cóż tedy?

— My z królewiczem zostaliśmy tu przez straż aresztowani wbrew wszelkiemu habeas corpus.

— Prawo habeas corpus, czyli «miej ciało\*, jest to dobra stara zasada i u mnie się stosuje. Ale prócz tego prawa, przez tradycję szanowanego, u mnie w państwie obowiązuje prawo główne: corpus non habeat umbram: niechaj ciało nie ma cienia.

— Ależ, proszę królewskiej Mości, wszakże ciało bez cienia to nadużycie, to bezprawie. Według pandektów: etiam capillus unus habet umbram suam: nawet włos cień swój posiada. Również orzeka i prawo obyczajowe: «każdy kłosek ma swój włoszek».

45

— Tak, ale to źle — rzekł król surowo. — Cień to zbytek, tak jak i włos u kłosa. To niepotrzebne, niepożyteczne, wymaga wielkich obszarów, przestrzeni luźnej, osobistej, i jest wobec tego społecznie szkodliwe. Przestrzeń między osobnikami powinna być jak najmniejsza, ściśle użytkowi odpowiadająca: niech przedziela osobniki jakiś najwyżej kawałek skóry, naskórek... Gdyby się jeden osobnik trzymał od drugiego na odległość cienia, to nie byłoby zwartości społecznej. But by się rozlaźł. Powiesz mi może, iż ze zbytniego zwarcia się cząstek powstaje kłoc. Właśnie... Kłoc u mnie w państwie jest najpożądanym zjawiskiem, bo z kłoca robią się ćwieki.

— A duch? — wtrącił Wezyr.

— Jaki duch? — zdziwił się król Ćwiczek.

— Duch, to jest niby coś w rodzaju cienia właśnie, a wytworzenie cienia, czyli tego ducha zawdzięcza się słońcu, światłu...

— Głupstwo to wszystko — rzekł król porywczo i nie starając się nawet zrozumieć. — Przeciwko światłu mam płachty porozwieszane nad państwem. A zresztą, gdyby nawet i było światło, to cień nie mógłby być w posiadaniu każdego z osobna, bo tak są wszyscy u mnie do siebie przywarci. Skupiam, zbijam do kupy pojedynczość, cień osobisty przez to ginie, i w rezultacie mam pożyteczny ogół, kupę uszeregowaną i wtłumioną, wtłoczoną w podeszew. To jasne... Zresztą, nie będę się tłumaczył. Czego tedy żądasz, cudzoziemcze?

Wezyr chciał coś ostrzejszego odrzec, ale wstrzymała go wrodzona rozwaga i obowiązek służenia królewiczowi. Rzekł więc:

— My z królewiczem przywędrowaliśmy oto, aby się pokłonić Waszej Ćwiczkowej Mości i zapytać o zdrowie królowy.

— Aha, królowy? Król brwi zmarszczył.

— A wam co do niej? Znasz, widzę, autorów, zatem wiesz: vae victis!

Tu, na wspomnienie snadź odniesionego w swoim czasie zwycięstwa, rozmarszozył się król i łagodniej dodał:

— Z przyjemnością stwierdzam, że przybywając do mnie, przybyliście z celem. To dobrze. Bo u mnie celowość... Nie znoszą próżniaczego rozmarzenia, rozlazłości, czyli rozwiąłości. Wszystko u mnie musi być celowe i... hę! hę!... celujące. Szydło celuje w podeszew, ćwiek celuje w dziurkę, noga celuje w cholewę i biada jej, jeśli nie trafi: musi żyć na bosaka...

Wtem, jakby sobie nagle uprzytomniwszy, że już dość długo zostawał beczynnie, król Ćwiczek schwycił za pilnik i znów zajął się pilnym oszlifowywaniem paznokcia u swej jedynej nogi.

Nogę tą król, choć miał jedyką, ale tak czynem i sportami była rozwinięta, że mogła obstać za cztery. Toteż król na koniu siadywał jak przybity do podeszwy. Z gier sportowych, jako dobry patriota, król uprawiał grę zwaną gwintem, czyli ćwiekiem. Z innych obyczajów króla tu przy sposobności nadmienić wypada, że lubił skórą dam haremowych, a harem miał liczny, ponieważ

każdy poddany, a nawet i urzędnik najwyższy, o niedostateczną celowość podejrzany i sądownie o niej przekonany, musiał mu oddawać kochankę. W piątki król, dla przykładu, pościł.

VII

Wszystkie te szczegóły, znane z historii, przypomniał sobie Wezyr, stojąc i nie wiedząc, co dalej mówić. Na szczęście król sam się odezwał.

— ...Zresztą, o królownie w tej chwili niewiele więcej wiem od was.

— Jak to? Czyżby jej tu nie było?

— Tak, nie ma jej tu. Szukajcie jej u króla Gwoździka, mojego siostrzeńca. Uciekła do niego, ale mu nie zazdroścę. Niech ją tam! Przyłgnęła już była do mnie, jak zoczy-

46

47.

na skóra. Chwili nie miałem wolnej, ja, który jestem i tak zajęty i tkwię w pracy poty.

Tutaj król wskazującym palcem przeprowadził po szyi, jak gdyby ją odkrawał od swego łebka miedzianego, i mówił, niby w zapomnieniu, do kogo mowa jego się skierowy-wa.

— Stosunki nasze, choć najśłodsze, przejadły mi się. Z początku ona skarżyła się na królewicza, ja go broniłem, potem ona zaczęła królewicza chwalić, a ja ganiłem. To było gorsze. Nazwałem ją czymś tam. Ona też mnie nazwała.,. I uciekła.

— Do króla Gwoździka?

— Tak. U mnie się poznali. Wpadł jej w oko tak, że oślepla et voila.

W głosie królewskim pobrzmiwała jakby żałość i razem zdziwienie, że można go było, jego, króla ćwieczka, porzucić.

— I nic po niej nie zostało? — spytał Wezyr. Król zadzwonił. Wszedł sztywny kamerdyner, stary ćwiek, stukający nogą, jak gdyby była o kuli.

— Idź no — rzekł król — do pokojów, które zajmowała królowna, zobacz, co tam zostało, i tu przynieś.

Służący wyszedł i zapanowało dość przykre milczenie.

Król, snadź żałując, że za dużo mówił, zwłaszcza wobec osoby, w której podejrzewał nieżyczliwość ku sobie, zatopił się w niemym cyzelowaniu paznokcia i tylko z lekka posapywał.

Wezyr rozglądał się po sali.

Na tle ścian bieleły się czaszki ćwieczków pozabijanych w desenie, jakie zwykliśmy widywać w podszwach butów. Pośród deseni tych jaśniały lakierowane litery wersetów i sentencji.

Jedna brzmiała tak:

«Bądźcie wszyscy na jedno kopyto».

Inna zalecała cel:

«Tak celuj, abyś wcelował do celu».

Jeszcze inne aforyzmy orzekały lub radziły:

48

«But stoi ć wiekami».

«Kończ sprawę i żegnaj!\*

Niektóre z orzeczeń, widocznie dla uniknięcia niewłaściwych komentowań ich, podane były w tłumaczeniu urzędowym umieszczonym tuż pod oryginałem:

Hodie mihi cras tibi: «Dziś dla mnie, a jutro dla ciebie».

Beatus qui tenet: «Tyle zysku, co w pysku».

Wisiało też tu kilka obrazów, których miernotę artystyczną zamaskowywała pocziwa tendencja.

Jeden obraz, traktowany olejnym drukiem i błyszczący, jak świeżo ukończony kamasz, przedstawiał zgrupowane narzędzia pracy w taki sposób, że formowały nadzwyczaj budującą postać alegoryczną. Postać trzymała w jednej ręce, zrobionej z łokcia mierniczego, pociegiel;

drugą ręką, zrobioną z łopaty, napychała sobie do ust, kamasz przypominających, jakieś jadlo; na obrazie był napis:

«Ćwicz, ćwicz, ćwicz się».

Sens obrazu uzupełniał komentarz objaśniający, że «ćwiczenie» można i należy rozumieć potrójnie, to jest: jako bicie, jako jedzenie i jako naukę.

Inny obraz, też o zakroju symbolicznym, przedstawiał duży but ze złowrogo sterczącymi uszami i z paszczą cholewy, która zionęła, zda się, zagadkową próżnią, nasyconą potem. U dołu szyldzik opiewał: «Swinks».

Jeszcze inny obraz, oczywiście z okresu dziejów legendowych, kiedy to jeszcze niski poziom społeczny pozwalał istnieć krajobrazom, miał za treść właśnie jakiś widok bajeczny. Na drzewach rosły gotowe już buty; rzeki płynęły piwem i żytniówką, a płoty były grodzone kiełbasami. Na lewym planie obrazu stała grupa ćwieczków do góry

\* Ofiara królowny

49

ff ""•

nogami, a z ich łebków pozanurzanych w trawę, jak żmijki powywijane widniały języczki z napisami:

Sursum crepidas: Do góry kopytka!

Oględziny Wezyrskie zostały przerwane wejściem poko-jowca, który przyniósł na tacy jakąś pomietą kartkę i przyklękawszy oddał ją królowi. Król podłożył kartkę tę pod ciężki, na biurku spoczywający tom «Oćwieczenia powsze-chnego»; potrzywał ją tam chwilę, a gdy się wygładziła, zaczął czytać.

W miarę czytania, król Ówieczek stawał się coraz czer-wieńszy, poczynając od twarzy, aż wreszcie całkiem czerwony, zgniół papier i rzucił go na ziemię, pod nogi Wezyra, który nieznacznie nakrył i przycisnął go butem.

Król, zły najwidoczniej, stukał pilnikiem po biurku i pomrukiwał:

— ...Że jej tu nie ma! Ach, jak bym ją kazał «oćwie-czyć.»

Słowa te wypowiedziane przez zaciśnięte zęby, nie zachęcały Wezyra do dłuższego obcowania z królem. Zresztą miał kartkę.

— Najoćwieczeńszy Ówieczku! — rzekł. — Mogę odejść?

— A idź!... Idźcie sobie na cztery wiatry, ty i twój kro- f lewicz, wraz z waszymi cieniami...

Próżniaki i darmożjady!

Powiedziawszy tę niegrzeczność, król, jakby mu przyszła do łebka myśl jakaś nagła, zapytał:

— Czy chcesz się zobaczyć z królowną koniecznie?

— Tak, przynajmniej tego sobie życzę królewicz, pan mój.

— To dobrze. Dam wam list polecający do mego sy-nowca, Gwoździka, dam glejt i kogoś do wskazywania drogi, ale pod warunkiem...

— Jakim?

— Że uprowadzicie królowną od króla Gwoździka.

— To właśnie i naszym byłoby zamiarem...

— I że, z powrotem, z królowną wstąpicie tutaj, do mnie.

Tu Wezyr mruknął coś, co można było tłumaczyć rozmaicie.

Król, nie zważając na tę dwuznaczność mruknięcia, nakreślił coś pismem ówiekowym, które wyszło już z użycia, wyjąwszy w rzeczach sekretnych. Nakreśliwszy list, dał służącemu odpowiednie zlecenie, a gdy wszystko było gotowe, zakończył audiencję szorstkim jak pilnik:

— Żegnam.

— Dziękują — rzekł Wezyr niemniej kostropato. A złożywszy bardzo głęboki ukłon, dla pozorów, zręcznie, w chwili ukłonu, wy dostał spod podeszwy zgniecioną kartkę, schował ją w pięść i wyszedł za przewodnikiem.

VIII

Zastali królewicza siedzącego na ławie kamiennej, w wielkim zniecierpliwieniu.

— Mów — zawołał.

Wezyr opowiedział swoją rozmowę i wszystko co widział. Królewicza to obeszło najbardziej, że już królowy tu nie ma. Cieszył się, że porzuciła króla Ćwieczka, ale znowu ten jakiś tam król Gwoździk, którego nie znał wcale.

Gdy Wezyr w opowiadaniu swym doszedł do kartki i tę mu okazał, królewicz rzucił się na nią, z wrodzonym kochankowi idealnemu pożądaniem rzeczy materialnych, i — schował ją w zanadrze. Chciał zostać z tą kartką sam na sam, jakoby z samą królową.

Przy tym krępował go przewodnik.

I tu dopiero obaj z Wezyrem jęli przyglądać się baczniej małemu temu ćwieczkowi, który miał ich zaprowadzić do króla Gwoździka.

50

Ale ćwieczek ten nie wyróżniał się od innych widzianych ćwieczków żadną osobliwością zewnętrzną. Był wystrugany czworogrannie i miał tylko jedną nóżkę. Co zaś do jego strony duchowej, to zbyt niewiele było do sądzenia jej danych. Ćwieczek trzymał się z mechaniczną prostotą i wkluwając oczy to w królewicza, to w Wezyra, czekał ich rozkazów.

— Jak ci na imię, mały? — spytał Wezyr.

— Tutkwi moje nazwisko — odrzekł sztywno malec.

— A więc, mój Tutkwi, nie tkwijmy tu. Lewo zwrot! naprzód marsz! raz, dwa, trzy! Idziemy. I szli.

Zaraz za pałacem królewskim zaczynała się pustynia, zwana Ćwieczkarnią.

W pustyni tej czerniły się, do mrowisk podobne, widziane już przez podróżników kopce czy sterty. Były to właśnie «ćwiekowiska», rodzaj wspólnych mieszkań, o kształcie wyolbrzymiałego, nieforemnego buta.

Ustrój ten ćwiekowisk miał głównie na widoku zniewolenie ćwieczków do życia w nieprzerwanym mroku, bez indywidualnego cienia i bez jego rodziciela-słońca. Cel ten był osiąganym w zupełności, ponieważ w but społeczny nie przenikało światło i nie mogło tam rysować, tworzyć indywidualnych cieniów.

Wezyr pragnął nieraz przedostać się do środka tych zabudowań, ale Tutkwi chęci te odradzał, mówiąc, że ćwieczki nie znoszą, gdy się ma cień własny, i zaraz -na ten cień następują i dziurawią.

— A jakże to mogą zrobić, kiedy tam w tych norach cienia naszego nie byłoby widać?

— Cień się czuje — rzekł Tutkwi przekonująco.

— A ty? — zagadnął Wezyr niespodzianie — cóż ty dla naszych cieni czujesz?

Tutkwi, jakby mu odpowiedź przychodziła z trudnością, tonem kobieco powściągliwym i wahającym się rzekł:

— Dla mnie wasz cień nie jest przykry.

— No, no — mruknął Wezyr. — A to oryginalne.

— Co to jest oryginalne? — spytał Tutkwi.

— Ćwieczek pytający? Ho, ho! — zawołał Wezyr. — Oryginalne, oryginalność to jest... Powiedz mi, malcze, zali jesteś przez swoich lubiany?

— Nie bardzo... tak, nie bardzo.

— No, to musisz mieć jakąś osobliwość, czyli «sobość», czyli talent. Umiesz pokazywać drogę, więc umiałeś i patrzeć... Ej, pewno ty czasami myślisz? Myślisz sobie, że tkwienie w bucie to nie jest ideał życia?

Tutkwi milczał, zawstydzony i jakby odgadnięty.

— No, widzisz — kończył Wezyr — takie myślenie to jest właśnie oryginalność.

Królewicz w rozmowach podobnych rzadko brał udział i względem dociekań Wezyra zachowywał się obojętnie na zewnątrz, a w duszy nieraz i wrogo. Zdawało mu się, że te wszystkie rzeczy, zaspokajające ciekawość podróżniczą zmówiły się przeciwko niemu i chcą rozprószyć jego bolesno-słodki stan miłosnego skupienia. On nie ciekaw innej rzeczy ponad królową. Ku niej dąży, ją tylko chce oglądać, nad jej tylko budową zastanawiać się, nad jej ustrojem rozmyślać. Dlatego naglił Wezyra i przewodnika, aby mogli jak najprędzej wyjść z tych pozbawionych królowy okolic, których widok drażnił go i przygnębiał.

Szli tedy szparko. Po drodze jednak musieli niekiedy zatrzymywać się i opędać różnym urzędowym ćwiekom, chcącym odbierać im cienie. Ale glejt i przewodnik starczyły za obronę. Ćwieki salutując, wracały do buta, a wędrowcy szli dalej krajem pustym i bez widoków.

Nic nie dawało cienia, bo ćwiekowiska były pozasłania-ne z różnych stron wielkimi płachtami, półcienie zaś od płacht leżały złączone z sobą, tworząc jednolite, szare pod-ścielisko, sprzyjające porostowi zaledwie grzybów, liszajów, żywokostu, pokrzyw, rzeżuchy i świńskiego ziela. Kwiatów nie było, a jeżeli zjawiały się, to wnet, jak dzieci, które z mieszkań piwnicznych wybiegły na podwórze ciemne,

52

53

niebawem, na głos matek, nieogrzone słońcem, do piwnic swych wracają i nikleją z wolna: tak tu nikły owe kwiaty, porażone szarością, a blaskiem nieupieszczone.

Na tle tym szarym nawet cienie królewicza i Wezyra odbijały się mizernie i prawie że ich nie było widać. Tym niemniej, dostrzegane przez obywateli ćwiekowisk, wszę-dze wzbudzały jakąś dziką zawiść i nieżyczliwość. Każda spotkana gromada tubylców uważała za najchlubniejszą rzecz po nich, po tych cieniach deptać.

Zdumiewającym był spryt, z jakim ćwieczki posiłkowały się swoją jedyną nogą, skacząc na podobieństwo pcheł lub kangurów. Jedne do skoków używały nogi, inne skakały na głowie, gdyż istotnej różnicy między nogami ćwiecz-ków a ich głowami nie było, chyba ta różnica, że głowy mieli tępe, a nogi spiczaste. Ustrój taki był nadzwyczaj celowy i pożyteczny. Każdy ćwiek, w danym razie, mógł się w coś wetknać, a skoro ucięli mu nogę, stawał w tym czymś na głowie.

Niekiedy wędrowcom zdarzało się spotykać grube, klus-kowate potworki, toczące się lub toczone po świńskim ziele, na kształt beczulek. Toczenia dokonywały ćwieczki wybiedzone i chude, mające na łebkach szyldziki z napisem: Pous-se-pousse. Tutkwi utrzymywał, że te baryłkowate, bezkształtne istoty, pozbawione zdolności ruchów samodzielnych, są to zbogaceni na obłupywaniu ze skóry innych ćwieczków obywatele. Od nadmiernego darcia, nie służą im j;ż nogi; nieruchomość nóg sprowadza tycie, tak że tłu-ściochy te, podobne do kłód, muszą aż wynajmować sobie «popychadła», biedne, poobdzierane przez nich samych stworzenia i które jeszcze muszą swych zdzierców taczać. Jedyną przyjemnością tych wydziedziczonych helotów było to, że mogli swoich panów na wszystkie boki obracać i niekiedy nawet siadać na nich. Grubas, choć się gniewał, ale w zależności od pousse-pousse'a będąc, musiał wszystko cierpliwie znosić. Bał się, że rozdrażniony wymówkami lub naganą pousse-pousse może go w jakieś nieczyste miejsce wtoczyć. I często tak się zdarzało: obywatel baryłka leży

54

w gnojówce i nie może się ruszyć, bo pousse-pousse wtoczył go tam i gdzieś sobie odszedł na papierosa. Z brzucha grubasa wypływa mocz z kałem, a on leży i nie może się podnieść, bo nie ma pousse-pousse'a, który by przyszedł i z gnoju go wytoczył.

Hańbę takiego potoczystego, czyli raczej poto-nie-czys-tego życia, spasione ćwieki okupywały tym, że prowadziły handel skórami i kopytami i że zakładały fabryki. Z fabryk tych jednak, z maszyn, zwanych ćwieczkorodami, wychodziło na świat pokolenie za pokoleniem ćwieczków — pemsse-pousse'ów.

Objaśnień o tym wszystkim udzielał Tutkwi niechętnie i jakby teraz dopiero, mówiąc przy tych cudzoziemcach, bardzo dla niego sympatycznych, uświadamiał sobie niedolę swego kraju.

IX

Pewnego dnia królewicz, zajęty, po raz nie wiadomo już który, odczytywaniem owego świstka królowny, dostarczonego mu przez Wezyra — pozostał był nieco w tyle i doznał niemiłej przygody.

Gdy był zatopiony w czytaniu, napadła nań banda ćwieków o powierzchowności tak plugawej, jak gdyby pochodzili z buta rażonego trądem. Rzuciwszy się hurmem na cień królewicza, utkwili w nim skancerowane kończyny i zaczęli cień rozszarpywać z dzikim piskiem i wraskiem.

Zanim Wezyr z Tutkwi, na trzask dartego cienia, zdążyli przybiec, już kilka kawałków tegoż było w posiadaniu rabusiów, którzy natychmiast zaczęli przykładać je sobie do strupiałych członków. Niektórzy wznosili wydarte fragmenty cienia nad głowami, na kształt parasolek, więcej z urągowiska niż z radości.

Biedny królewicz, sparaliżowany ze wstrętu, wcale się nie bronił. Dopiero Wezyr nadbiegł i waląc napastników po łebkach swoim listem żelaznym, zmusił ich do ucieczki.

55

W zajściu tym odznaczył się i mały przewodnik.

Mianowicie na jednego zbira naskoczył tak zajadle, że go na dwoje rozszczepił i drewnianego pozbawił życia. Zbój drgał przez chwilę, jak dogorywająca zapalka, aż zgasł, poczerniał, tuż zaraz się spopielił i rozsypał między liście świńskiego ziela.

Po dokonaniu tego czynu Tutkwi zwrócił się do królewicza.

— Jakże ci, panie?

Królewicz blady był i nic nie mówił.

— Czy aby został kawałek cienia?

— Zdaje się, że został — rzekł słabo królewicz.

— O, to odrośnie.

Królewicz zdawał się być trochę pocieszony.

— Cień odrasta — dodał Tutkwi — jeżeli go niezupełnie stracić.

— A ty skąd wiesz o tym? — spytał Wezyr.

— Tak... wychodziłem czasami z buta... za płachtę.

— No, no — mruknął Wezyr i przyjaźnie spojrzął na Tutkwi.

Zajęto się rannym królewiczem, ale i on sam już przychodził do siebie. Nadchodzący wieczór wydłużył mu resztki ocalonego cienia i doprowadził je nawet do rozmiarów znacznie większych, niż było potrzeba. Skrzepiony na cieniu królewicz, któremu napaść ta przerwała na chwilę wątek myśli o królownie, mógł spokojnie teraz patrzeć wraz z towarzyszami na zachodzącą czerwień kuli słonecznej, która przez dziurawość płacht, a nawet przez ich włókna prześwitywała.

— A ty dlaczego nie masz cienia? — spytał królewicz i wskazał palcem na miejsce, gdzie podług jego zapatrywań, winien był leżeć cień Tutkwi.

— Ja?... — westchnął ćwieczek i podniósł twarzyczkę, jakby z wyrzutem ku czerwonemu zachodowi. A zachód nie życzył sobie wystawiać Tutkwi na dalsze świecenie oczami i zaczął spiesznie dogasać. Cienie królewicza i Wezyra po-

56

rozciągały się tak, że ich brzeg znikł zupełnie, i niebawem ciemność ogarnęła wszystkich.

Wezyr ze spodu najbliższej płachty zrobił namiot, umieścił tam królewicza i sam legł. Tutkwi podjął się tkwić na straży. W "tym celu, na kilka piędzi podskoczył ku górze i spadając, utkwiał w ziemi swą ostrą nogą, aby tak już pozostać do rana. Wezyr usnął wkrótce, tylko królewicz długo jeszcze rzucał oczyma w ciemne przestrzenie i słał do ukochanej myśl roz tęsknioną.

Królewicz ocknął się z pewnym niedomaganiem. Nadwerężenie cienia, bodajby tylko chwilowe, działa przygnębiająco na tych, którym ten cień jest wrodzony. Cień, odbłask, refleks potrzebny jest dlatego, że przypomina, że zwiastuje obecność światła tym, którym żyć światłością przeznaczono. Jeżeli cień w jakikolwiek sposób ginie, to znaczy, że zbłądzili z drogi świetlanej. W nocy, gdy cienia nie widać, błądzi się też najczęściej. Bo i sama ziemia wówczas błądzi, odwraca się połowicznie od słońca, zapoznaje światło połowicznie. Ta grzeszna połowiczność ziemi w dziedzinie światła i ciepła jest błędem czasowym, wskutek obrotu ziemskiej bryły naokoło swej osi, i jest błędem przestrzennym, wskutek obrotu jej naokoło słońca. Błędna ziemia krąży dookoła tego świetlanego centrum, jakby szukała sposobu złączenia się z nim, ażeby już żyć światłością nie częściowo, nie czasowo, lecz całkowicie i nieprzerwanie.

Cień rzeczy to jakby smętek ich, że w tej swojej postaci materialnej żyć całkowicie życiem słonecznym nie mogą.

Wszystkie cieniobójcze urządzenia w kraju króla Ćwieczka miały za zadanie udostępnić obywatelom życie całkowitą jednostajną szarością bez tęsknot próżniaczych ku żywotowi słonecznemu. Obywatel ćwieczek wołał być ciemnym

57

kwiatów, ani

jak but, ale z raz na zawsze ustaloną pewnością, że żadnego światła nie ma na świecie i że je wytwarza tylko jakaś niezdrowa histeria .....

— Że też ty, królewiczu — mówił Wezyr tonem wymówki — nie możesz się dość naczytać tego świstka królowej?... Miłość jest rzeczą bardzo niespołeczną, bo zakochany nie trzyma się kupy, tylko pożąda żyć w parze, a jeśli pary nie ma, to gdzieś odłazi, marnuje cień i napędza nam i sobie strachu... A propos, co też tam królowa pisze, jeżeli wolno wiedzieć?

— A nie powiesz nikomu, słowo?

— Słowo.

— No to masz, czytaj.

Wezyr wziął papier i czytał, co następuje:

«...Dziwny kraj! Nie ma tu ani drzew, ani ,\_~> światła, ani cieni, ani światłocieni.

...Pełnam niepokojów i pożądań, o których nikt nie wie. A chciałabym się dać poznać. Chciałabym kogoś, coby mię tak wziął, przeniknął i uciszył...

...Król Ćwieczek? Nie mówcie mi o nim. Nie jest on ani drzewem, ani kwiatem, ani cieniem, ani światłem, ani światłocieniem. Jest parweniuszem — c'est tout dit. Le Tsfiets-cheque — quel nom!...

...Ćwieczek był taki biały i czysty, gdym go poznała, jakby świeżo oheblowany, ale teraz jest brudny i brzydki. Myślałam, że oprócz mnie nie będzie kochał nic i nikogo. A jakże! Kocha systematyczność, praktyczność, oszczędność i celowość. Te wszystkie ości, te oderwaności, ces choses abs-traites, ca me degoute. Takie to wszystko nudne, dalekie od życia!...

...Król wicz też bredził czasami o oderwaniach, i wtedy odrywał się ode mnie, szedł do swego brzydkiego Wezyra, a mnie zostawiał samą...

...Dziwne! Jak można odrywać się od życia? Jak można zostawiać królową samą i zapominać, że królowa jest życia pięknem? Jak można to było robić, o królewiczu!...

58

...Piękno idealne? — pusty wyraz. Przecie żaden malarz nie namalował ładniejszej królowy nad królową żyjącą, rzeczywistą. A jeżeli namaluje coś z fantazji, to musi namalować tak, żeby to miało pozór rzeczywistości, nie oderwania. Rzeczywistość więc jest obowiązującą...

...A jednak poza rzeczywistością coś jest. Jest może poezja i sztuka? Ależ to ja jestem właśnie i poezją, i sztuką. Jestem pięknem, bom piękna, czuję to. Jestem żywą ideą, ideałem. Tak, ale trzeba być piękną...

...Widzę się w lustrze cała, oglądam. Szata moja czerwona zsuwa się wolno, bo ją zatrzymuje wyniosłość bioder... Piersi moje jak gołębice pojmane w siatkę: jedna chce wyfrunąć ku wschodowi, a druga na zachód... Tak, jestem piękna, jestem pięknem.

...J'ai une idee toute chose: požądam siebie.

...Biedny król wicz! Co on też robi? Płacze po mnie? Powinien płakać. Mnie utracić, to tak jakby zgubić życie. A jeśli się zgubi coś drogiego, to się płacze. A mógłby mnie przecie był nie gubić. Ale się odrywał! I po co się odrywał?

...Chociażby nie wiem jaki wziąć ideał i do zostania nim dążyć, to gdy się już nim zostanie, trzeba nim żyć, trzeba urealniać go. Więc co tu mówić? Il n'y a que la realit ,

...Przybył tu król Gwoździk. Co za imię kwieciste! Il doit etre la poesie realisee. To mi poezja! Taki pełny, postawny i taki rzeczywisty!

...Zabawny Ćwieczek, który sobie wyobraża, że ja go kocham! Dziś na przykład mi się pytał: czemu go nie wzywam? czemu go nie potrzebuję? Dlatego, odpowiedziałam, że nie jestem butem. Król się zaczerwienił, powiedział, że jest twarda jak podeszew, i zaraz odszedł. Va!

...Gdy mię zapach lip doleci z mojego ogrodu wspomnień i gdy tu widzę asfalt naokoło... taka się czuję zmęczona! Tak bym chciała, żeby przyszedł ktoś miły i powiedział: żyj tak i tak — to bym żyła... Król wicz umiał tylko kochać i sam nie wiedział...

...Życie nie może być jedyną rzeczywistością na świecie. Musi być poza tym coś, musi być coś poza życiem?...

59

l

L

...A może tylko trzeba żyć inaczej, żeby to inne dój-; rzeć? Tak, trzeba zmiany!

...Kwiatów! Kwiatów! Kwiatów! Ach, tak bym już chciała stąd odlecieć! Dokąd?... czy wiem? Poza świat, au-deli d'ici-bas... Dans la vie, U n'y a que cela de vrai! Tylko te jest prawdą, co leży poza prawdą».

l

Gdy Wezyr skończył czytać, król wicz, który przez tenj czas niecierpliwie badał jego wyraz twarzy, spytał:-

— No c ż powiesz?

Ale na twarzy Wezyrsfeiej nie znać było żadnych wzruszeń.

— Powiem ci, król wiczu — rzeki — jest to dziennik rajskiego ptaka.

— Przynajmniej rajskiego! Dziękuję w imieniu królowy — rzekł cierpko król wicz. — I to przez ciebie jam j ten raj utracił! j

— Zapominasz, król wiczu, żeś go już nie miał, gdyś przyszedł prosić mię o radę. Już byleś wygnańcem z jej serca.



— Kiedy królowna pisze, żem to ja się od niej oderwał, wyrzuci mi to... Patrz, czytaj.

— Pamiętam, Ale tak samo kot mógłby wyrzucać myszy, która męczył, że oderwała się od niego i uciekła. Gdy j wrócisz, będzie to samo. Posłuchaj mię, królewiczu. Zboczmy z tej drogi, nie chciej już szukać królowny po świecie. Obierz sobie inną drogę do jej odnalezienia. Szukaj królowny w sobie. Stwórz ją w sobie. Posiądź królownę jako ideę piękna i zamknij ją w sobie, a wtedy żaden Ćwieczek ani Gwoździk jej ci nie odbierze, nawet gdyby ci serce wyrwał z rozkrajanej piersi.

— Nie rozumiem cię i nie chcę nawet zrozumieć, co zna-

60

czy ta twoja frazeologia? Mam nie szukać królowny? Dobry iesteś!... Ach, ujrzeć królownę jeszcze i umrzeć.

— To ty, królewiczu, frazesujesz. Gdybyś królownę ujrzał naprawdę, nie chciałbyś umierać, tylko co prędzej swemu pożądaniu ulżyć, zaspokoić je.

Królewicz zdawał się być oburzonym.

— Tak! — rzekł Wezyr: — Ujrzyj królownę, ale nie umieraj; a nie umrzesz, ukochawszy ją miłością idealną. Żyj ideą, czyli PIĘKNEM!

— Piękno idealne — pusty wyraz.

— Tak mówi królowna, a raczej tak się jej mówi. Tak się jej mówi i mówiło, ona to powtarza, a ty za nią. Idealne piękno — pusty wyraz! Zapewne, ale dla tych, którzy w sobie mając pustkę ideową, nic w idei nad pustką nie widzą.

— Ależ przecie królowna...

— E, co tam królowna! Czy nie widzisz, jak przelatuje od jednego twierdzenia na biegun przeciwny. Il n'y a que la realite — Il n'y a qu'au-deld. To czuje coś poza życiem realnym, to zdaje jej się, że nic poza nim nie ma... Raz mówi o jakimś ideale zewnętrznym, do którego trzeba dążyć, to znów uważa siebie za ideę już ucieleśnioną. Szuka siebie — i to jej się chwali — ale szuka za pomocą frazesów ogólnych, komunalnych, i oczywiście siebie nie znajduje. Żeby siebie znaleźć, trzeba stworzyć swoje własne słowo. Rozumiesz królewiczu — słowo.

— Nie rozumiem — rzekł królewicz opryskliwie.

— Stworzyć słowo, to znaczy stworzyć ideę, czyli właśnie piękno idealne, istotę życia — to, czego królowna instynktem jakimś — niezwykłym w królownach — szuka, ale czego nie znajduje. A nie znajduje, bo szuka jej na zewnątrz, w ideale konkretnym. Spieszy pozbyć się idei, wyjść z ideorodnej dziedziny i wejść w realność — w króla Ćwieczka lub króla Gwoździka.

— Proszę cię, Wezyrze, nie wypominaj mi tak tych królów.

— Wspominam ich nie jako osoby, tylko jako pewien

61

żywiół, odbierający królownom twórczość idealną i dążą-j cy do odnowienia się, przy ich udziale, znów jako żywiółj jako materia — w potomstwie. I jakże ma królowna coś innego tworzyć, kiedy już tłum trubadurów stworzył sztukę kochaniowo- czyli żądzo-piewną — sztukę nie znającą idei piękna poza pięknem ucieleśnionym królewien.

— I ja nie znam i nie chcę znać innego piękna. j

— Nie mów tak głośno, bo nie masz się czym chwalić i nie zarzekaj się przeciwko pięknu idealnemu, bo je mo4 zesz poznać i poznasz. Biedna królowna! Wszakże ona nie' zna innej poezji nad poezję żądy! Gdy jej się w niebo zdarzy spojrzeć, zaraz zjawia się trubadur i powiada, że niebo to są jej oczy. Kiedy królowna patrzy w wodę, trubadur zaraz jej szepcze, że gotów dla niej utopić się. A kiedy królowna schyli się nad kwiatkiem, już trubadur wyjmuje nożyce, kwiat dla królowny ucina, oddaje i oczywiście czeka nagrody i wcale nie idealnej. Biedna królowna! Nie zna innej poezji. I skądże ma ją znać? Ty, jak słusznie o tobie powiada, wskazać drogi jej nie

umiałeś, boś oślepił dla królowny, boś ją «kochał». Król Ćwiczek nawet o drodze nie może mówić, bo zamiast drogi ma dziurkę do tkwienia w bucie i jemu samemu drogę but wskazuje, a but 11 jak wiadomo jest... ciemny w środku, choć z wierzchu mo- J że i powleczony być lakierem... A może król Gwoź- | dzik?

XII

— Zdaje się, że ty byś jej wskazał najlepiej drogę —| rzekł królewicz cokolwiek drwiąco.

— Tak, ja — odparł Wezyr. — Wskazałbym, gdyby mię ( słuchać chciała. Ale nazywa mię brzydkim, to znaczy, że wszystkiemu, co bym idealnego powiedział, przeczy-1 łoby jej piękno realne. A ta realność nie chce być przekonywana, tylko pożądana też realnie.

62

— Nie mów tak, Wezyrze, bo mi robisz przykrość. Odejdę, jeżeli nie przestaniesz. Wezmę Tutkwi i pójdę, a ciebie nie chcę.

— Pytanie tylko, czy Tutkwi pójdzie z tobą. Tu Wezyr zwrócił się do przewodnika:

— Tutkwi, za kim byś poszedł?

Ćwiczek namyślał się swym łebkiem, patrząc kolejno na obydwóch. Rzekł wreszcie:

— Polecono mi odprowadzić was do króla Gwoździka, więc kto tam idzie, to ja z nim.

— Brawo, Tutkwi! — zawołał Wezyr.

— A więc widzisz, Wezyrze. Ponieważ ja idę do króla Gwoździka, Tutkwi jest ze mną. Chodź, mały. Żegnaj, wielki Wezyrze.

— Nie, królewiczu kochany, pozwól mi jeszcze służyć sobie i mówić ci...

— Kiedy ty mi zawsze taki zamęt robisz w myślach, gdy słucham cię, że lepiej, jeżeli cię nie będę słuchał, doprawdy.

— Źle byś robił, nie słuchając mnie. Opustoszałyby twoja dusza całkiem.

— To przez ciebie właśnie pustoszeje, bo ją wyjaławiasz z wszelkiej realności, a chcesz jakieś mgły wprowadzić idealne. Bo nie przekonasz mnie, żeby królowna, nazywając piękno idealne pustym wyrazem, nie miała racji. Żaden malarz nie namalował piękniejszej królowny nad królownę żyjącą. I prawda. Obraz najbardziej idealny nie zastąpi życia.

— Nie chodzi o to, żeby je zastępował, i zastępować nie może, tak jak nie może zastąpić melodii sam widok instrumentu. Chodzi o to, że obrazowość wprowadza do życia pewne symbole. Łączysz się z symbolem myślą, niby strunami, i powstaje w tobie melodia. Im te symbole są doskonalsze, tym bardziej rozbudzają ducha, tym bardziej życie rozkwita. Rozkwit życia to nie życie obrazem, tylko wyzwolenie duszy z więzów realności, czyli z dziedziny żądz wszelakich, to — melodia życia, które przestało być realnością sarną. Rozkwit życia, to mnożenie piękna, a nie jego spo-

63

żywanie. Blask słońca, spożyty przez chmury, ginie; taki samo i z pięknem: gaśnie, jeżeli go spożyją chmurzyska] żądz.

— To na cóż tworzyć piękno, jeśli go nie używać?

— Na to, żeby promieniowało w duszach czystych i wracało ku tobie już jako ustokrotniona jarzącość. Nią żyć tak, aby nie spłonąć, lecz dowolnie kierować tą jarzącością, aby coraz to nowe światła rozpalać — oto, jeżeli już tak lubisz to słowo, użycie, użycie idealne, życie pięknem idealnym. Twórz! promieniuuj! faluj! Rytm życia płynie od najwyższych wzlotów, gdzie króluje twórczość i świetlaność, do najniższych unieruchomień spożywania i nocy. Bądź falą najwyższą i najgłębszą i nie liź mialkości realnych.

— Ach, kiedy dla mnie najwyższą rzeczą jest realność królowny!

— Niechby było i tak, byleś swego zachwytu nie wyrażał przez żądzę. To, co cię zachwyca w pięknej królownie., gdyś dał folgę swej żądzy, już przestało cię zachwycać, już nie uwielbiasz.

Urealniać uwielbienie znaczy je niszczyć, niszczyć piękno. Ziściłeś się, to znaczy zniszczyłeś pewną sumę energii, zgasiłeś pewną ilość światła, stłumiłeś pewne quantum myśli wibrującej żywotem, zgasłeś, unieistiłeś j się. Po zaspokojeniu żądy jesteś już inny — martwy, nieswój, boś się oddał, zbrzydłeś sam i zbrzydziłeś królową. Jesteś już nie cały, już nie jesteś sobą promiennym, pro-' mieniami duszy łączącym się z świetlanością bytowa. Jesteś ciemny. Czerwieniejesz jeszcze dogasającymi drganiem żądy, coraz słabiej, aż gaśniesz w bezduszości zupełnej.

— To cóż się stanie z królowami? Osamotnić je!

— Przeciwnie. Właśnie przez spełnienie żądy odosob- J niasz się od nich. Gdybyś nie był tak bardzo pod tym względem gorliwy z królową, nie tęskniłaby była do kogoś poza tobą.

Królewicz zamyślił się i jakby sobie coś przypominał.

— Tak — ciągnął Wezyr. — Królowa skłonniej-sza jest do życia duchowego, niżby się zdawało. Zbudowana jest po temu. Byle tylko mogła wznieść się do pojęcia i uwielbienia piękna świadomie. Piękno królowa ma w sobie, może być z nim zawsze, żyć nim, radować się sobą. Ale trzeba, żeby to piękno było całkowite, żeby się nie oddawała. Trzeba, żeby tłumiła w sobie próżność, łakomstwo, ciekawość. Trzeba, żeby posiadała świadomość, czyli posiadała siebie. A dlatego musi się zaprzeć swoich żądz, upodobań, grzechów swoich się wyrzec musi. a grzechem jest wszystko, cokolwiek ją z otoczeniem więzi. Chęć siebie, pożądanie siebie, znaczy chęć znalezienia swego wyra/u myśli jako duszy. Jeżeli ją znajdzie, wtedy może być szczęśliwa bez Ćwieczków i Gwoździaków.

— To może i bez królewiczów.

— Zgadłeś, jeżeli królewicze nie zmieniają się i zamiast wyć z pożądania i pełzać za królowami, nie zabiorą się do szukania siebie w sobie. W ten sposób każdy znajdzie w sobie swój ideał, nastąpi cielesne rozłączenie i rozkwitnie życie duchowe tysiącokrotnie potężniejsze niż to daremne tarcie się ciała o siebie... Pomyśl. Królowa będzie miała na własność ten cud, to swoje ciało zwarte, faliste, uległe i opierające się, dotykalne i olśniewające, ten płomień, który nie parzy — to wszystko może mieć na własność.

— A królewicz?

— Królewicz, jako pierwiastek twórczy, po opanowaniu swoich żądz, będzie mógł te piękne kształty królowien tworzyć samym pomysłem — tworzyć i zapewniać im szczęśliwość... To wszystko możebne za pomocą świadomej idei piękna.

— Tego pustego wyrazu?

— Tak, tego pustego wyrazu: świadomość. Wyrobienie tej świadomości %wymaga czystej, - niezmaconej przez uczucia myśli. Bo teraz, mówiąc o królowie, to piękne jej ciało należy pozornie do niej, ale naprawdę to ono nie jest jej, ijo nim nie włada. Ciałem jej władają próżnostki, królewicze, Ćwieczki, Gwoździaki...

— Wezyrze, przestańże już o tych Gwoździakach.

— Uspokój się, królewiczu. Władanie Gwoździaków jest, jak wszelkie władanie nad realnościami, nietrwałe, złudne.

64

! Ofiara królowy

Bo gdyby realne ciało było rzeczy istotą, to można by je było uwielbiać jako piękno w każdej formie. Tymczasem piękna królowa, gdy jej ciało stłuszczeje, już przestaje wzbudzać pożądanie władzy nad nią, czyli nad nim, nad tym ciałem. Tłusta królowa już nie jest pięknem. Pięknem jest tu więc forma sama, harmonijne spojenie części dla całości piękna. Istotą rzeczy jest więc idea. Dlatego idea ta jest bardziej realną od ciała, jest trwalsza nieskończenie! Ciało

rozpłaszcza się, grubieje, umiera. Piękna idea żyje i wciąż się odradza. Ileż to już najpiękniejszych ciał królewien minęło, a idea z każdą nową piękną królową odżywa.

— Zlituj się, Wezyrze, nie wciągaj mnie w tę bezreal-ność, w której ja widzę tylko próżnię i która mię przeraża, jak cień nieżywego. Ja pragnę żywych kształtów, żywej królowy, całej! Niech jej promieniami żywi się kto chce, ja wolę ją mieć samą. Niech będę słaby w twoich oczach, ale mnie kochaj, nie idealnie, tylko po prostu. Kochaj i pozwól mi kochać. Daj mi znaleźć królowę, chodźmy do niej!

— No to chodźmy — rzekł zniecierpliwiony Wezyr.

I znów szli.

Na przedzie szedł świeczek, szedł, a raczej skakał na swej nóżce; za nim postępował królewicz; pochód zamykał Wezyr.

XIII

Szli, szli, aż królewicz obejrzy się ku Wezyrowi i rzeknie:

— Gniewasz się, że idziemy do królowy realnej?

— Jużci, że wolałbym iść z tobą do królowy idealnej. Dążyć do idei jest to zbliżać się ku prawdzie, a gonić za realnością znaczy chcieć utrwałić fikcji, chcieć znieu-chomić to, co się ciągle zmienia. Królowa realna, którą znajdziemy, już nie będzie tą, którąśmy porzucili byli. Dążenie ku idei jest wdzięczniejsze. Ideę możemy utrwalić; idea zależy od nas, od stanu czystości dusz naszych. A realność?... Realność posiadamy, gdyśmy duszą zbrudzeni, a więc właściwie my jesteśmy posiadani przez tę rzecz realną...

\_ E, napadasz tak i napadasz na tę biedna realność...

— Nie napadam, tylko oświatlam.

\_ Oświatlasz, ale ja tej zagadki wcale nie mogę pojąć: dlaczego ma być ważniejsze od piękności realnej to twoje piękno idealne, którego ja nie widzę.

— Bo masz wzrok słaby. Światła też nie widzisz, tylko oświetlone przedmioty realne. Myśli nie widzisz ani pomysłów, dopiero ich urzeczywistnienie, pomimo to nie zaprzeczysz, że światło istnieje; że pomysły są realne dla istot myślących jeszcze przed ich urzeczywistnieniem. Dla istot zaś niemyślących dopiero urzeczywistniony pomysł jest realnością; postać myślowa tej realności jest dla nich niedostępna.

— Więc pięknem idealnym byłaby...

— Tak, dokończ. Pięknem idealnym jest myśl czysta, duch. Pięknem idealnym jest wibracja myśli czystej, tworzącej kształt nowy; a piękno realne jest jakby drgnieniem tej myśli stężalym. Fala powietrzna jest niewidzialna, fala wodna ma już falistość widoczną, aż wreszcie na piasku wybrzeża widzisz, po ustąpieniu fal wodnych, karby i pofałdowania stężale, podobne do użyleń w głazach.

— Więc królowa realna, dlatego że jest realna, byłaby już przez to samo głazem lub piaskiem, albo falą wodną? Żartujesz.

— Królowa jest głazem, gdy żyje poza tobą, gdy ku niej żądza dopiero cię popycha, jak morski bałwan ku skal-skom nadbrzeżnym. Ale natomiast królowa jest pięknem idealnym, gdy żyje w twej myśli, gdy się staje ideą twoją piękną bezwzględnie. Bo piękno idealne jest, niestety, bezwzględne, nie troszczące się o względy niczyje. Zaś piękna królowa, czyli piękno realne, żyć bez względów nie może: albo ich udziela, albo je przyjmuje. Piękno idealne jest niczyje, bo jest samotne najbardziej, a więc jest twoje, gdyś i ty najbardziej samotny; piękno królowy realnej

należy do wszystkich, bo piękno realne jest najbardziej «,-warzyskie, a więc jest nie twoje tym bardziej, im bardziej ją na własność posiąść żądasz; chcesz królową mieć samą,] gdy ona w samotności się zanudza, gdy czas, nie zapełnić ny realnie, ją przeraża...

— A jakież to jest czas nie zapełniony realnie? i

— To jest właśnie myśl. Gdy myśl przerywa się, wystę-j puje czas, tak jak wówczas, kiedy się budzisz. Myśl, czyli piękno idealne, nie zależy od czasu, bo znosi go: piękno zaś j realne jest jakby wcieleniem czasu i podlega zmianom cza- j sowym: życiu, chudnięciu, starzeniu się. Słowem, piękno urealnione przepada z czasem, a idea, od czasu nie zależąca trwa. Istotę rzeczywistości stanowi nie realność, tylko idea.

— Jak to? Nic nie rozumiem.

— A więc uważaj tylko. Bytem rzeczywistym, rzeczywistością nazywasz co? — rzecz y-w i d z e n i e. Więc im to widzenie będzie doskonalsze, tym rzeozy-wis-tość będzie wyraźniejsza, jaśniejsza, więc jakby realniejsza nawet.

— Dobrze, ale cóż stąd? — A to, że jeżeli zamiast organu widzenia wzrokowe-j go — oczu, weźmiemy jakie inne narzędzia zapatrywanie-' we, doskonalsze, to i widziana przezeń rzecz będzie «wist-sza», bardziej widziana, doskonalsza. Takim narzędziem najdoskonalszym jest myśl najczystsza: zatem widziana przez nią rzecz-idea jest rzeczywistością największą, naj-j realniejszą. Taką myślą najczystsza jest, jakeśmy to powiedzieli już, piękno idealne. Im więc bardziej myśl doskonalisz, tym bardziej zbliżasz się ku temu ideałowi, tym bardziej nim się stajesz. Nie przez o władnięcie cielesnością,' ale przez natężenie myśli zbliżasz się bardziej ku swojej pięknej królownie.

Powiedziawszy to, Wezyr przystanął i patrzył na królewicza nie tylko oczyma, lecz i owym najdoskonalszym, jak mówił, narzędziem zapatrywań — myślą, i niewidzialnie oświetlał wnętrze królewiczowskiej duszy. Gdy tam stało się widno, królewicz rzekł w zamyśleniu:

\_ Tak, to by wyglądało na prawdę.

\_ To jest nią — rzekł Wezyr. — Jak światło, które otacza i przenika ziemię tam, gdzie mu ona stężalnością swoją nie stawia oporu, tak ta prawda: przenika tym łatwiej w dusze czyste i tym trudniej i zgoła niepodobniej przeniknąć jej do ciemnych dusz pożądliwców, dla których największą prawdą jest uderzenie łebkiem w posiadłość. Taki król Ćwieczek, na przykład, wierzy tylko w to, w co nóżką albo łebkiem utkwi.

Ostatni wyraz «utkwi\* Wezyr wymówił tak głośno, że Tutkwi, wzięwszy to za zwrot do siebie, odkrzyknął:

— Jestem tu.

Stało się to powodem rozweselenia królewicza i nawet samego Wezyra.

— Mówiłem — rzekł — o tkwieniu, nie o tobie. Ty już nie tkwisz, tyś już wylał z buta, czyli po trosze jakby z realności bytowej i zdaje się, że tam nie chciałbyś, do tego buta, wracać? Nie chciałbyś?

Tutkwi nie odpowiedział nic, tylko westchnął.

— Pokażemy ci światło prawdziwe, nie pozakrywane płachtami — dodał Wezyr.

Ćwieczek milczał, ale uśmiechnął się.

— I cień swój własny mieć będziesz — dorzucił królewicz.

— Osobistość własną — uzupełnił Wezyr.

W tym miejscu ćwieczek, z radości snadź, podskoczył tak wysoko i nieobrachowanie, że spadając utknął w ziemi zanadto i podróżnicy musieli się zatrzymać.

Wezyr wziął Tutkwi za łebek, obruszał i wyciągnął z ziemi. Po czym rzekł:

— Uważaj, malcze, żebyś za wysoko nie skakał, bo mo-żesz za nisko osiąść. To prawo równowagi jest też postacią idealnego piękna. Nie dorosłeś widać jeszcze do niego, mój roalcze.

Tutkwi ponowił swoje wzdychania.

69

XIV

Kraj, po którym szli teraz, zaczynał stawać się jakiś inny. Chmur płacht było coraz mniej i coraz mniejsze. Widnokrąg się rozszerzał. Tam i sam rosły już nieduże krzaczki i drzewka... Leżało kilka starych, przegniłych butów, z których ćwieki zdezerterowały.

Zalatywał obcy wiatr z korzennym, narkotycznym zapachem.

— Tutkwi, daleko to jeszcze do króla Gwoździka?

— Już niedaleko — rzekł Tutkwi: — to granica.

— Granica? — zawołał królewicz i chciał biec naprzód. Ale Wezyr przytrzymał go i rzekł:

— Usiądźmy tu cokolwiek. Trzeba rozważyć rzeczy daw niejsze, nim się coś nowego przedsięweźmie. Tu zwrócił się do przewodnika:

— Tutkwi, więc zabieramy cię z sobą, ale musisz na opowiedzieć swoją historię i dlaczego tak ciągle wzdychasz?

— Rad bym żyć z wami — rzekł malec — ale mi żal i króla Ćwieczka...

— Dlaczego? I co cię z nim wiąże?

— Bo tam został mój cień.

— Kpij sobie ze starego cienia. Urośnie ci nowy, a na wet, zdaje się, że już go trochę widać — zapewniał Wezyr. Ale cienia ćwieczkowego jeszcze nie znać było.

Wszyscy siedli, Tutkwi westchnął i głosem dziecinny, w zdaniach niedokształconych, ale zrozumiałych opowiedział swoją historię.

Urodzenia swego nie pamięta. Według pewnej legendy, istnieje gdzieś maszyna, zwana ćwieczkorodem, która wśród) hałaśliwych zgrzytań rodzi ćwieczków od razu cały milion.; Jako jeden z miliona, on, ćwieczek, był w dzieciństwie: szczęśliwy szczęściem bezmyślnego tkwienia w podeszwie buta. Ciasno mu było, ale miał tę pewność, że się obudzi, zawsze na swoim miejscu, przywarły głową do ziemi...

łasa

po śmierci owego buta dostał się na dwór królewski { tu wsadzono go w posadę przewodnika. Urząd chodzenia tu i ówdzie stworzył w nim niezbędność zastanawiania się i porównywania. Wtedy to poznał się z królewiczem i Wezyrem. W obcowaniu z nimi jest mu dobrze, może rozwijać się myślowo, ale prócz myśli zjawia się w nim i tęsknota. Tęskni do tego odziemka, z którego pochodzi. Odziemek ten musiał żyć niezawodnie jako osobne drzewo, mające naokoło siebie podobnie wyosobnione, ze swoim własnym wyglądem istoty.

To prawda, że wówczas on, ćwieczek, żył w masie drzewnej, nie był wyodrębniony, wystrugany jako ćwieczek; ale stokroć lepiej żyć jako żywa częśćka pięknego żywiołu, niżli istnieć osobiście, ale będąc, jako ćwieczek, wyciosanym na jedno kopyto z tyloma innymi ćwieczkami.

Ćwieczkoród wyprowadza ćwieczki ze stanu szczęśliwego skupienia w drzewie i fabrykuje z nich, dla codziennej korzyści, skupienia inne, dalekie od pierwotnego szczęścia, męczące, upadlające.

— Jakże to przykro — mówił z wzdychaniem Tutkwi — tkwić gromadnie w jakim głupim bucie, zamiast, jako drzewo, rosnać, kwitnąć, szumieć, czerwienić się o wschodzie, oddychać żarem południa, mieć swój cień.

— Stanować, jako drzewo, część krajobrazu — rzeki królewicz.

— Być pięknem — dodał Wezyr. — Bytować, a nie but-wieć w bucie. Butwieniem jest tkwienie w podeszwie, zależnej od buta, który sam jest niewolnikiem przyziemnym rządzonego przez nogę i traktowanego przez nogę Wypoćina-mi! — przez nogę, która jest podwładną służebnicą ciała ludzkiego; ciałem dopiero rządzi duch, stanowiący bytowanie właściwe... Gdyby tak wszystkie

ćwieczki wylazły naraz z podeszwy, but przestałyby istnieć. Pomyśl tylko, mój Tu-ttcwi, nie byłoby buta społecznego i nastałby dobry, prawdziwy byt ludzki. Każdy miałby swój cień własny, swoją oryginalność, swoją wolę, swoją sławę, byłby sobą, kimś — rozumiesz ty to?...

70

71

W tym miejscu Tu tkwi, pojawiwszy cały ogrom swego poniżenia i zwątpiwszy, zali będzie mógł kiedykolwiek pod j nieść się do oznaczonych przez Wezyra sfer duchowych —j zapłakał. Jego łzy były to właśnie lacrimae rerum, a takifir\* lzy z ćwieczka robią człowieka.

— O dzięki wam — mówił płacząc — dzięki, zem prze? was wyzwolił się z tej ć wieczko we j martwoty. Może mię słońce spali, może ogień, ale przynajmniej nikt mi już nie będzie deptał po głowie,

I Tutkwi przestał płakać, wyprostował się, co przy jego wrodzonej prostości było nawet zbyt prostym i jakby nadużyciem, począł najczulej wyrażać swoją wdzięczność królewiczowi z Wezyrem. Ci zaś obejmowali go i całowali, ponawiając swe zapewnienia, że się nim zajmą i zrobią z niego artystę, co najmniej rytownika.

Tyle wzruszeń jednakże wyczerpało Tutkwi mały orga-nizmek. Zachwiał się na swojej nóżce i upadł. Gdy Wezyr zaniepokojony schylił się nad nim, malec już nie żył. To nagle rozprężenie się wewnętrzne, które się w nim dokonywało i teraz wybuchło, zanadto widać szarpnęło nim i moc życia spotęgowana, zaszczerpiona mu przez Wezyra ( z królewiczem, i nie mieszcząca się teraz w za szczupłej na to wszystko postaci ćwieczka, zabiła go. Leżał sztywny, nieruchomy i zagasłym wzrokiem dzieciennym patrzył w rozjaśniające się nad nim nowe niebo.

Wezyr zasadził trupka jego w ziemię i zaraz wyrosła mała sosenka. zaczęła szumieć i cień, zupełnie nowy cień. rzucać.

Wędrowcy przyglądali się drzewku, a drzewko szumem zdawało się im coś szeptać. Był to jakby szept pachnący dziękczynieniem. Wezyr, zdawało się, że z drzewkiem rozmawia.

— Odrodziliśmy cię — mówił — wskazaliśmy ci drogę. Sosenka poruszała igielkami, podobnymi do zielonych ćwieczków.

— Ale któż nam teraz drogę wskaże? — wyrwało się królewiczowi.

\_ - Jakiś sposób sobie znajdziemy — rzekł Wezyr z pew-' nością siebie. A zwracając się jeszcze do sosenki:

— Żegnaj, wyzwoleńcze — powiedział — i oby cię nigdy nie znalazła maszyna społeczna zwana ćwleczkorodem. l Pójdźmy, królewiczu.

I weszli w inny, w aromatyczny kraj króla Gwoździka.

72

XV

Jak okiem sięgnąć, nie widać było nic innego prócz kwiatów.

Zapach był taki, że ktokolwiek przybywał do tych krain po raz pierwszy, doznawał upojenia, jak ci, co oglądają morze. Jak w morzu opar wód, tak tu falowały niewidzialne wonie kwiatowe. A kwiatami były tylko same gwoździki, w najróżniejszych odmianach ubarwień i uwzo-rowań.

Tam oto kwitły różowe, w takiej ilości, że wydawały się lampasem odłamanym z tęczy i rozciągniętym aż do widnokręgu.

Tam mienił się w blaskach łan nakrapianych, jak gdyby modrość nieba roztajała w żarze i pokąpała listki amaran-towe i żółte.

Tam krwawiły się zagony paśowych, niby krew przelana i niezmiernym pasmem w dal upływająca.

A tam leżał nieskończenie długi postaw bielutkich, jak prześcieradło ślubne, na którym dzień w dzień wylegiwała się miła objęta słońcem, i noc w noc, zalana rosami, cudzołożyła z księżycem. Królewicz i Wezyr siedli w czerwoności, pośród kwiatów, i milczeli długo, odurzani zapachem. W zapachu tym czuło się dech przedpostaciowych istnień, których nikt nigdy gorącym nie ośnił, żadnym okiem nie wyoglądał ani

73

ślepy szczęściem nie posiadał — istnień uczepionych, zda się, do tych migotliwych prześwitywań w liściu kwiatowym, które blask uwydatnia i które umierają, przytłoczono i nie cieniem — istnień, które wypatrują najczystszych stanów duszy, ażeby się dać wyczuć i ażeby się przeistoczyć w radosne duszonych trwanie.

Królewicz myślał o rzeczy tej jedynej, której zapożyczyć nie można. Wezyr — o tych rzeczach, które jeszcze nie kwitły, o tych, które za rzeką niezbrodzoną, za górą nieprzebytą, za morzem nieprzepłynionym być muszą. Królewiczowi snuły się myśli, jak wody z łąk powstałe, jak rzeki ze skalnych płynące źródła, chłodnych tęsknotą i mchem zielonych. Wezyr, zapatrzony w kwiaty, rozmyślał nad ich pozorną jednakowością i nad tą nieuchwytnie małą odmianą jednego źdźbła od innych — odmianą, która jednak stanowi powab kwiatowy i niema jakąś prośbę o wyróżnienie z kwiatowego morza. Boć też i fale — fale morza — niby to jednakie, popychają się i wywracają na piasek miarowo, a przecie każda rzuca się do oczu różnym wystrzępieniem grzywy, coraz odmienniejszym upienieniem kłębow i coraz innym rytmem uderzeń.

Wezyr spojrział na królewicza tak, jak gdyby chciał przeszczepić do jego duszy poczucie nieustannych odmian w kształtach wszechrzeczy, i przemówił głosem odmiennym, od swego zwykłego żartobliwego tonu. Gdy mówił, zdawało się, że każda nowa fala wonności, lekko z bezbrzozy kwiatowej przypluwająca, niesie na sobie jakąś postać z samej woni złożoną i zdmuchnąwszy ją z siebie, wraca po inną. A mówił tak:

...Są królowny o liniach sfalowanych i niepokojących jak woda, której dno nieznanne.

...Są królowny, niby tkanina jedwabna uległe, i mocne, gdy je chce zerwać, jak łańcuch.

...I są oporne wrzekomo, a z marzeniem o najpokorniejszym oddaniu. j

...Są królowny wierne, ale tylko przeto są wierne, i wierne nie jednemu, aby innych widokiem tej wierności ranić.

74

j są zdradliwe pozornie, aby ukochanego dręczyć. ..Są królowny mówiące słowa nie swoje, których się wstydzą.

...Są królowny niepewne, czy powściągliwość je czy też zuchwalstwo lepiej ukrasi.

...Są królowny o sercu przestronnym i o sukni obcisłej.

...Są królowny, w których spojrzeniu migoce obojętność, jak blask w zimnym kryształ.

...Są królowny sztywne udany chłodem i które łąkną spojrzeń jak słońca.

...I są królowny z zachwytem na twarzy, a z myślą o najlichszej ze swych falkanek.

...I są królowny o biodrach szerokich, a o duszyczce trzpiotowatej i wąskiej.

...I są królowny o ciele białym, w którym tkwią czarne ziarenka grzechów, jak pestki w gruszcze.

...Są królowny rozplamione a czyste, wyzywające ciekawością i obronne spokojem.

...I są pożądaniami zwarzone, jak liście, które żar pochylił.

...I są królowny, jak zioło złamane, które ma zwiędnąć i umrzeć, gdy inne będą rosły i kwitły.

...Są królowny, w które przenikasz wszystkim pomysłem.

...I są, których spojrzenia biegną za wami, jak za wydziercą rzeczy nie znanej nikomu. ...Są królowny nieuniknione.

••I są pokorne i wyczekujące, a które gniew krasi, gdy je pominąć:

...Są oczy, jak znalezione w liliach turkusy.



- Są oczy wpółodemknięte pragnieniem i wpółomglone tumanem niepoczęcia.
- Są oczy jałowe niewiedzą a rozwarłe jak na widok cudowności.
- Czoła jasne, jak półksiężyc pochylony zamyśleniem nad ziemią.
- ..Czoła jak tablice marmurowe rylcem niepokalane.

75

...Włosy, którymi można jak żywymi girlandami głęć opleść albo je w górą na karku spiętrzyć, aż się schyli.

...Włosy, które przedłużeniami promieni słonecznych biją się zdają i które kołyszą się niby melodia.           1

...Są ręce splatające się mimowiednie, gdy się zetknęły.]

...Są postawy dyszące rzutem, przez dumę hamowanym.

...Są gorycze nawalne, w których wara dobrze, i są uciszenia słodkie, w których wam gorzej.   '!

...Jedne królowny są jak wschodzący przeddzień wól-j n ości.

...Jedne jak rozkosz temu, kto znowu kochany. ...Jedne królowny są dziewicze jak błyskawica ranna. ...I niepokalane jak rdzeń gałęzi czeremchowej, nagle wyłuskwiony.

...Są królowny, którym się dało szczęście i o których pamięć zatracilim.

...I są, które się skrzywdziło, ale których już nigdy zapomnieć nie można.

XVI

Królewicz słuchał, ale był podobny do owych dzieci które, siedząc nad morzem, patrzą na fale wielolicość. a myślą tylko o tej, co w domu została, zabawce. Gdy Wezyr przestał mówić — rzekł:

— Jest królewien tyle i tyle, ale nie ma tej jednej, kto-ra... |

— Która co? i k

— Która... Nie wiedziałem jednak, że tak umiesz poety- ii zować na temat królewien.

— To deklamacja. Czytałem to gdzieś i nauczyłem się] tego na pamięć. Potem, w życiu, rozglądając się, przekonałem się, że dużo w tym jest prawdy. Widywałem podobne do tych królewien.

— I może którą kochałeś?

76

\_ E... — rzekł Wezyr bez bliższych objaśnień, a po chwili milczenia dodał: — królowny są jak te fale, mniej więcej do siebie podobne, a wszystkie stanowią jeden żywioł, gorzki albo słodki — wodę.

\_ Już raz mówiłeś o tej wodzie. Ale porównanie to nie rzecz. Woda gasi pragnienie...

A królowna je rozpala, masz rację, królewiczu. Królowna jest trochę inna od wody; podobieństwo jednak zostaje w tym, że i w wodzie, i w królownie możesz utonąć.

— Prędzej w twoim morzu królewien.

— Właśnie, że nie. Po królownach, jak po morzu, pływasz, a skoro na jednej fali chcesz się oprzeć, idziesz na dno.

Królewicz zasepił się i, pomilczawszy, rzekł:

— Nie ma, nie ma jak ta jedna, jedyna królowna, bo tylko z jedną jest miłość, bo tylko z jedną dzieli się łzy i radość.

Radość?... Łzy?.. Radość i łzy z miłości, to nie rzecz królewiczowska! Płakać może królewicz na widok ubogich klejnotów albo na widok zbrzydzonego piękna. Ale z miłości płakać to jest mazgajstwo. Zaś radować się z miłości jest plebejuszowską gestykulacją. Radość życiowa jest po to, żeby się przetwarzała w stan spotęgowania myślowego. Raduje się, używa kalectwo lub spotworniałość, bo w radości, w skokach uciesznych zapomina o swym upośledzeniu. Ale dla królewicza radością czysta ma być czysta myśl, jaśniejąca, słoneczna. Wszelka inna radość,

wylądowująca się w śmiechu, w uciechach — jest gminnym użyciem. Radować się dla orła oznacza rozszerzać polot, dla zwierząt przyziemnych radować się znaczy skakać i lizać się nawzajem. Gmin wyraża swą radość obżarstwem i opilstwem: Królewicz powinien z radości — myśleć.

Królewicz milczał i znać było, że myślał, ale to myśle-nie nie pochodziło z radości.

— Radować się — mówił dalej Wezyr — to znaczy wzrastać, rozszerzać się. Dlatego tylko radość dziecka jest bo to jest jego myśl. Ale skoro już dziecko urosło,

77

dalszy przybytek winien odbywać się, jeżeli ma być dale pięknem — w kierunku myśli. Radowanie się nieustanr w ten sam zwierzęcy, sentymentalny sposób prowadzi bezkształtu, do utycia, do rozlania się i do zaniku...

— Ach — rzekł królewicz — bo ja też właśnie pożądał zniknąć, utonąć w tej jedynej swojej królownie, tej jedj nej, której słowo pieści, nim je zrozumiesz.

— Całe szczęście, że nie rozumiesz, bo gdybyś je zr zumiał, to by cię raziło już, nie pieściło to jej «słowo».

Królewicz nie zważał na tę uszczypliwą przerwę We zyrską i ciągnął: j

— Tej jednej, dla której byś gotów umrzeć w każdej chwili.

— Ale nie umierasz. -

— Tej jednej, której niehumor rani, której nieubłaga-j ność zabija, której czułość... j

— Tej jednej, dla której nigdy nie jesteś zanadto głu-j pim, tej jednej, która się do siebie czuli, dla której ty rozczulasz i która cię na koniec znieczula.

— Ta jedna — mówił królewicz nie zważając — której uśmiech przywraca dumę, której ciekawość rozognia...

— Że aż się ciekasz i dostajesz wścieklizny. O królewne czu, mój, ciągnij swój dytyramb, mów jeszcze o tej jednej której niepokój nie daje ci spokoju, której spokój niepokc cię, której rozbawienie pozbawia cię myśli, której pozbsa wienie nabawia cię tęsknoty i której powab z rozumu ci| wywabia. j

— O Wezyrze, czy już nic dobrego w «tej jednej» ni j chcesz znaleźć?

— Owszem. Ta jedna jest tą jedną, której smutek cieszy; której radość gniewa; której milczenie zachwycaj której myśl swoją rzadkością, jak cud uderza... Ta jednaj której przebiegłość i paplanina tak skutecznie zohydżają ją samą... O, ta jedna!... Nie powiem ci, królewiczu, żebyui jej nie usprawiedliwiał. Z braku myśli pochodzi jej prze-] wrotność; ze słabości — kłamstwo; z niedoskonałości, z po-j łowiczności jej — potrzeba użycia. Ta jedna nudzi się, bc

wątpa duchem; ta jedna, że bezduszna, niszczy twoją duszę, choć tylko nią żyć może, a jeśli nie niszczy, to w najlepszym razie tylko znosi twego ducha, królewiczu mój biedny, jeśli nie występujesz z nim nadto jawnie i jeżeli umiesz go zamaskować tak zwanym «bawieniem», bawieniem damy.

XVII

W tym miejscu wiatr lekki podniósł leżący na kwiatkach obłok zapachu, rozdmuchnął go na pył wonny i przenikliwy i pyłem tym, niby w rosę rozprysniętą fal pianą, obrzucił podróżników.

Królewicz przypomniał sobie WSZYSTKO, i w tym ! samym momencie wciągnięty został na dno jakiejś aromatycznej, wirowatej otchłani. To zajęcie, które w nim obudziły rozumowania Wezyrskie, pierzchło. W «tej jednej» królownie już nie widział bezosobistego przeciwstawienia wielości królowien, natomiast woń poruszonych wiatrem oparów kwiatowych uzmysłowiła mu jego własną królownę. Westchnął i zaczął mówić tak:

— Bez królowny każde słowo, każde poruszenie wydaje mi się niepotrzebnym, źle skierowanym i fałszywym. Coś ustawicznie mi szepce: po co mówisz, kiedy ona nie słyszy? po co chodzisz,

jeżeli to nie zbliża cię do niej?... Na myśl, która by się z królowną nie wiązała, trudno mi się zdobyć, a jeżeli się zjawi, to jakaś krwawa, zmęczona, jakby musiała, chcąc mnie nawiedzić, przedzierać się przez raniące zagrody... Muszę ją widzieć, bodaj wyobraźnią, bo tylko wówczas mój smutek łagodnieje...

— A więc uważ, jak jest dobroczynnym działaniem myśli! Jak nią możesz się zbroić przeciwko zasmucającym cię realnościom. Tak, myśl o królownie! Wyobrażaj ją sobie! Wyobrażaj ją w takiej postaci, w jakiej była dla ciebie naj-

78

79

milszą. Gdy sobie już ją z tych wyobrażeń złożysz, że ją będziesz mógł zawsze i wszędzie widzieć, wtedy c. i przestrzeń między wami zniknie, i nie będziesz realnie królowny już szukał, bo wtedy o niej, a właściwie o tej stacji jej, której sobie nie wyobraziłeś — zapomnisz.

— Zapomnieć?... Nie wiesz, co mówisz. Ja pamięć rzeczy, których zapomnieć znaczyłoby nie żyć! Sama m o ich zapomnieniu rani śmiertelnie. Na szczęście ja nie gę zapomnieć. Bo czyż zapomina kwiat pachnieć? Czy j takie drzewo wyrodne, które zapomina rozwijać liści i s leścić nimi na wietrze? Oto spójrz na tę przestrzeń kwiatową: ja nie wiem, czy to kwiaty pachną tak, czy to pamięć o królownie...

— Kwiaty pachną, bo to zapewnia im rozkosz obcowania z tysiącem innych kwiatów jednocześnie. I nie tylko z podobnymi sobie kwiatami obcuje kwiaty, ale nawet z owadami i z ludźmi, czyli ze światem tak od nich wyższym. A my? Czyż wobec nich, wobec tych kwiatów, nie powinniśmy się czuć niższymi, skoro, wybrawszy jedynego kwiatka, od nas niższy, osypujemy go wonią pożądania, i nawet nie my tylko, ale pomagają nam różni Ćwieczko wie i Gwoździakowie...

— Milcz! Jesteś ohydny — rzekł królewicz bardzo ostro i długo nic nie mógł mówić. Potem wstał i rozsuwając kwiaty, zaczął iść. Szedł coraz prędzej, jakby chciał uciec od tego miejsca, gdzie znieważono królownę. Szedł, szedł aż zniknął z oczu Wezyra, jakby się zapadł w kwiatowe morze. j'

1

Wezyr patrzył za tonącym królewiczem, aż kiedy już go nie było widać, powstał i krzyknął:

— Królewiczu! Żadnej odpowiedzi.

— ...iii-czu!

Milczenie... tylko wiatr gorący z leciuchnym szmerem dyszał i przebierał w listkach.

Wezyrowi zrobiło się markotno. Ale że Wezyr obowiązuje z urzędu radzić sobie (i innym), wkrótce się uspokoił i wstąpił w wydeptane przez królewicza ślady w otoczeniu kwiatowym.

XVIII

A królewicz, w którym wezbrało morze goryczy, szedł coraz prędzej, prędzej, zaplątał się w łądygach i upadł. Wtedy zapłakał. Płakał, płakał, a kiedy już łez mu zabrakło, wygramolił się z kwiatów i poszedł prosto przed siebie. Do Wezyra postanowił już nie wracać.

Szedł tak długo, długo, aż przyszedł nad skraj wielkiego jaru. Na tym jarze leżała kładka, a na kładce stał jakiś zwierzę i dziko na królewicza patrzył.

Zwierzę było osobliwe i przede wszystkim uderzał niesłychaną zmiennością kształtów, barw i poruszeń. Tułów pantery w okamgnieniu wydłużał się w węży; wąż grubiał i skracał się do rozmiarów antylopy, która nie zdążywszy jeszcze form swoich ustalić, przedzierzgała się w słowika; ten zaś nagle pęczniał i urastał w tygrysa. Niezależnie od tych przemian rodzajowych, ubarwienie zwierza zmieniało się tak często i tak niespodzianie, że nie zdążyłeś przyjrzeć się dokładnie jednemu kolorowi, a już nadlatywał drugi i niejako zmywał ten pierwszy, który już nigdy nie wracał, zmienność tę potęgowała jeszcze ta okoliczność, że barwa żadna nie

odpowiadała ani kształt żaden nie igadzał się z malowanymi tablicami naukowymi, które Fie za realność ustaloną poczytywać zwykło. Zmian następczość w tym zwierzu była taka, że uczony, który by go chciał obiektywnie opisać, lub malarz z modelu żyjący, gdyby go chciał skopiować, z pewnością by się porozchorowywali.

Królewicz, ujrawszy tego Potwora na kładce, bo jaźnią zajęty, zaczął się tyłem cofać, cofać, aż nagle potknął się

0 ~ Wezyra, który nadażył był właśnie, idąc śladem. wobec wspólnego niebezpieczeństwa pierzchło ich nie-

5 Ofiara krilewny

81

porozumienie i Wezyr, jako radzić w trudnym położeniu; był obowiązany, wystąpił naprzód, zasłonił sobą królewio<sup>^</sup> i zaczął machać na Potwór kijkiem.

Zadziwiony taką odwagą zwierza, z fiołkowego jaguara

o blade-płomiennych, nieprawidłowych i poprzecinanych seledynowym wężykiem meandrach futrzanych, przedzierzgnął się w łagodnie białego rajskiego ptaka, z tą odmianą jednak, że dziób z łebkiem zastępowała uządlona główka żmii koralowej; zamiast skrzydeł ptak trzepotał różowymi płetwami rekina, a na kuprze, z którego rajski ptak zwykle wyrzuca szkarłatnych piór fontannę, wyprężony, kołysał się stuoki wachlarz złocistego pawia.

Głosem podobnym do łkania mewy, któremu by towarzyszyło miauczenie żbika, Potwór rzekł:

— Nieustraszość twoja zbawiła cię i twojego mniej odważnego towarzysza. Kto jesteście i czego tu szukacie?

Wymówiwszy, albo raczej, ze względu na swoje podobieństwo do mewy (chwilowe), wymówiwszy i wymiauknąwszy to pytanie, Potwór stał się na jedno mgnienie różo-i wymięciem z pazurami lamparta i w tej samej chwili zgasił do czerności kruczej, aby tuż zaraz rozbrzmieć mienieniem się barw sepiowatego kajmana, który niebawem przybrał kształt złotopiórej meduzy osadzonej na nogach albatrosa,

Nieustraszony tym wszystkim Wezyr rzekł:

— A ty kto jesteś, a raczej co jesteś?

— Ja jestem absolut zmienności realnej, w służbie króla Gwoździka będący.

— A dlaczego jesteś tu, a nie przy królu?

— Bo król czasem każe mi się chować, ażeby miał potem przyjemność w odnajdywaniu mnie.

— A gdy cię znajdzie?

— To bawimy się.

— A jak?

— Ja się zmieniam, a król patrzy, rad, że mnie znalazł.4 Przypominam mu zmienność realności i jednocześnie daje mu rozkosz cieszenia się nimi. Ale dosyć mówiłem o sobie Czego ty chcesz?

Czy też szukasz absolutu?

— Zgadłeś. Ja z królewiczem szukamy królewny. To jest „n szuka, a ja znajduję sposoby szukania, czyli, że ja szu-am, a on się do znalezienia królewny sposobu.

— Migotliwie coś mówisz — rzekł Potwór i przemienił się w amarantowo na starozłotym tle nakrapianą konchę; z jej ust wyrósł kwiat jakiś gwoździkowaty i za-zął szemrać szmerem podobnym do szmeru wody przecie-ajacej przez chluby wodnych ligustrów. Co widząc, Wezyr odparł:

— Mówię tak, bo jaki słuchacz, taka i mowa. Dobrze Iżeśmy tu sami, ale taka nadmierna bujność zrobiłaby ci wielu wrogów.

— Wrogów się nie lękam — rzekł Potwór — bo kto mnie potrafi ująć? Ujmie w jednej postaci, to mu się zaraz przemieniam na inną. Zresztą, mogę się tak często nie zmieniać, jeżeli to wam robi różnicę.

— Cokolwiek — rzekł Wezyr — bo właściwie, przy tej zmienności, nie wiadomo, do kogo się mówi.

Potwór zdawał się być odrobinę dotknięty. Przybrał kształt sępa i rzekł:

— A cóż byś mi chciał mówić?

— Chciałbym cię prosić, żebyś nam służył za przewodnika.

Potwór namyślał się przez chwilę i powiada:

— Jeżeli mi zadacie zagadkę, której bym nie mógł odgadnąć, to dobrze, zaprowadzę was do króla.

— A jeżeli zgadniesz.

— To zjem was.

— Zjeść nas! — oburzył się Wezyr. — A przecie zapewniałeś, że moja nieustraszonosc zbawiła nas.

— Tak, mówiłem, a teraz mówię co innego. Wszakże jestem absolutem, a w absolicie są wszystkie możliwości. Wzybyś chciał, żeby absolut był czymś stęzałym i niezmiennym. Raz to mówię, a drugi raz tamto, zależnie od tego, co mi się w danej chwili podoba.

— Ależ to ohydne.

Pleciesz. Nie ma zmienniejszej rzeczy nad królownę,

82

83

a jednak królownę można kochać. Zmienność więc złą, jest i kto wie, czy królowny nie kocha się głównie dla zmienności? — Tu wtrącił się do rozmowy królewicz.

— Proszę cię, Wezyrze, niech ten Potwór nie królowny, której nawet nie zna.

— No, no — rzekł Wezyr cicho do królewicza. — ja go uspokoję.

A głośno do Potwora:

— Słuchaj, Potworze. Królowna może być zmienną twornie, ale żeby Potwór chciał kokietować zmienno^ królown;', to — potworne!

— Potworniejszą jest zachcianka królewicza tego z leżć królownę, skoro ją raz zgubił. Ale nie traćmy cza Pytaj. Mów swoją zagadkę.

— Dobrze — zawołał Wezyr. — Co to jest? Mordov jastrzab wdzięczną krasę, wdzięczną, bo mająca wdzię A kiedy ją przestał mordować, zabity przez krasęgo dobi czyńcę, czyli przeze mnie. krasa była już podskubana tr chę przez niego, więc już nie krasa wdziękami, czyli ni wdzięczna, choć i wdzięczna, bo chciała się odwdzięcz Ale dobroczyńca, to jest ja, nie przyjąłem wdzięczność i została krasa niewdzięczna, i choć krasą, lecz nie k; są, czyli bez swych wdzięków, a więc i niewdzięczną, cl ciał wdzięczną przez wdzięczność?...

— Dosyć — zawołał Potwór. — Przestań, bo mi już g!j wa pęka. Poddaję się. W tym już wykazałeś nie dwaznac ność, ale nigdynieodgadliwość. Poddaję się.

— Bo musisz. Twoje zmiany, aczkolwiek trwają krótl mogą się odbywać tylko następczo, jedna po drugiej, a ja zagadka znaczy — jednoczesność. Ty zmieniaj się realnie, zależysz od czasu, a moja jednoczesność, jak rzecz myślowa, od czasu nie zależy. Ty migasz rozcząstk d wanymi

kolorowościami form fragmentarycznych, ja wie białą, syntetyczną jednolitość. j — Przystań — rzekł Potwór z płaczem. — Nie przygn<sup>^</sup>biaj mnie do reszty. Nie chęlp się zwycięstwem.

84

\_ A więc prowadź nas do królowny — zawołał królewicz.

\_ Zobowiązałeś się.

Ale Potwór przestał płakać, zaśmiał się kilkoma odmiennymi gamami śmiechu, przybrał kształt wielkiego trzydłatego sfinksa i rzekł:

\_ ja mogę 'żyć tylko przeczeniem sobie. Nie znam wa-Uej sztuki jednoczesności, to jest, żeby przyrzeczenie było hednocześnie dotrzymaniem. Zresztą, wy, tak jednocześni, Skoro rozmawiacie tu ze mną, to jednocześnie już powin-liście być u królowny. Myślcie sobie o sobie i bądźcie zdrowi!

To rzekłszy, Potwór zdrobniął do małości kolibra, potem muchy, muszki, muszeczki, potem zmałał do wymiarów drobnowidzowego żyjątko, wreszcie przedzierzgnął się w atom, i na koniec zniknął z kładki zupełnie, przestał istnieć jako realność.

Sama nawet kładka, w oczach podróżników, zaczęła schnąć, schnąć, aż wyschła na leciuchny wiórek, podobny do puchu, który dał się podnieść wietrzykowi i z nim kędyś; odplynął.

XIX

Wiatr był wieczorny i chodził przystając, aby coraz to nowiej zaczerpnąć woni od kwiatów, które tu rosły pomieszane i niby drażniły się wzajemnie najprzeróżniejszym rozrostem i barwą.

Jedne wynosiła w górę pyszność; inne, małe, ku zdeptaniu zrodzone, zdawały się chcieć rozbrajać uległością; inne zdumiewać pragnęły osobliwym, swoim własnym, uliście-niem; inne rozścielały się położysto lub kędzierzawo, innych śmigłe pędy strzelały prosto i kłuły oczy, gdyby końce ostrz ich nie były w miękki otulone puszek; jeszcze inne syciły aromat tak mocny, żeby nim kogokolwiek jak naj-wonniej odurzyć.

85

— Cóż teraz poczniemy? — rzekł smętnie królewit Wezyrowi też było cokolwiek markotno. Ale że Weż

z urzędu obowiązany jest umieć radzić sobie i innym, pmyślał i rzekł:

— Czy jesteś, królewiczu, w możności zdobyć się pewną ilość woli? Królewicz milczał.

— Woli królewiczowskiej — wyrzeczenia się... król<sup>^</sup>ny?

Królewicz podniósł wylękłe i zdziwione oczy.

— ...aby ją zobaczyć — spiesznie uzupełnił Wezyr godnie spojrział na swego pana.

— Nie rozumiem.

— Trzeba zerwać na chwilę, mój królewiczu, zerwfei pasmo bolesnych tęsknot twoich za królowną, a właściwir za jej cielesnością, i skupić uwagę na czym innym.

— Na czym?... Czy istnieje cośkolwiek innego prócz kri lewny na świecie?

— Tak. Istnieje piękny ten wieczór, który tylko w ba ce możesz zobaczyć. Przyjrzyj mu się, popatrz, wsłuch, się w to bezszmerne ulatywanie dnia w niewiadome zaświ ty, i chciej wola oderwać się od ziemi, a ujrzysz... króle ny duszę, jeżeli ta istnieje, a jeśli jej nie ma, to znajdzie! tam swoją własną myśl, która błąka się w opuszczeniu i rój terce.

Wezyr, mówiąc to, przyciągnął do siebie królewic objął go wpół, siedli na kwiaty i zamyśleni, umilkli.

Wiatr był wieczorny, podmuchiwał na rozżarzoną kwi tów jaskrawość, łagodnie cieniował różnic ich wrzawę i matowych sprowadzał uciszeń ich zewnętrznosc. Tylko z pachy nieukozone, jak

tęsknota za rzeczą drogą a niepi wrotnie straconą — tylko zapachy rosły, rozkładały się Ł lami bezszelestnymi i niewidzialnymi i wtedy z wnet fal tych, jak z wnętrza pamięci dusz błędnych, wstawa korowodem wizje tułacze i w szary ten wieczór gasnący światel i wybuchającej woni cisnęły się do znieruchomych zamyśleniem oczów królewicza i Wezyra,

A były to wizje barw, kształtów, dźwięków i aromatów rzeczy \_ wizje bezgłośne, podobne do cieni związanych •nby z ciężarem i masą, ale żyjących tajemniczym życiem rozszerzań się, zwięzań, blednień i gęstnienia. Czasem osobno a czasem tłumnie cisnęły im się do oczów:

drogi przyczajone w wąwozach, pod zielenią liści, lub wyłażące na kabłaki gór bezdrzewnych i zwieszające stamtąd łby ubielone kurzem; —

drzewa żywiczne, leniwie śpiące na zboczach góry słonecznej; —

doliny rozległe, wśród wyżyn liliowych zamknięte, napełnione ludem słuchającym w winnicach dzwo.nów katedry: —

cichość zakątów ogrodowych, skrytych krzewami i ścian

bezokiennych głuszą; —

chłodnych darni szmaragdowość, w którą spadły owoce uczerwienione południem; —

gałęzie, co chciwie rosną i którym pilno objąć kolumn Dgorzałość, wysmukłych i pełnych jak biodra królewien; —

ogród opuszczony, w którym konają róże duszone przez :hwast okrętny; —

wiosenna woń kwiatów, którymi się z rana osypało kochankę; —

mury uwieńczone/niem cierniem i szklivem, który szarpie lazuru niebieskiego jedwab; —

kwietny rynek w mieście cudzoziemskim, pełen kurzaw pachnących niepowrotnością; —

rdzawe ścięgnięta aren tlejących i poległe w złomach pila-stry ganków i kolumn głowice, snem zaśnieżone kamiennym; \_

wilgotna gładkość nagich piasków na wybrzeżu morskim odludnym, gdzie rosą dziwne zioła i skąd widać niebieską samotność wysp dalekich; —

Przystanie, w których krzyżują się żądze wypoczęci^ z pragnieniem odlotów; —

o-iałość skał przybrzeżnych, wpatrzonych w dalekie., niewidnie posuwające się okręty; —

86

87

nieustanna daremność fal, chcących oblużować grobi sprężenie kamienne; —

zatechłość ulic wykutej w górze dzielnicy, z który wygnano żar winorodny i gdzie na poręczach siadają wiotH| kie dziewczęta; —

przedsienia świątyń odwiecznych, gdzie dokoła filarów siedzą zgrzybiali żebracy; —

nawy ukolumnione, chłodne, które studzą wesele .erę miłosnych i radość dnia przelotną; —

rzeźbione prezbiteria, w których goreją pnie świec woskowych i złote w marmurach pływają lśnienia; —

stronność pustelni klasztornych, gdzie z gorąca wie.dni na gnojach pielęgnowane kwiaty i gdzie kwitną chłode: skał niewyplenione chuci; —

procesje majem pachnących aniołów na obrazach świ tych; —

szkielety miast umarłych, w które wtargnął rój dzieci o żółtej krzewinie włosów pieszczonych, o oczach promie nistych i o białych lędźwiach; —

willa ustronna, dach płaski osypany zeschlými liśćm aleja zamieszкана przez posągi w mech strojne; —

obce twarze, obcą rozjaśnione uciechą, która przemij jak i one; —

wnętrza sal zamkowych malowane al jresco, gdzie z f r mug okiennych widać zmieniające się wiecznie i wieczn.; świeżością rozpluskane fale morza...

Obrazy te mieniające się na kształt smug świetlistych j wiły się królewiczowi i Wezyrowi coraz tłumniej, coraz m; gotliwiej. kłębiąc się i wytwarzając prąd wonnej wichur; Porwała ich ona znad jaru i uniosła w przestwór. Lec lecą, aż przylecieli za dziewiątą górę, za dziewiątą rzekę, z dziewiąte morze, do króla Gwoździka zamku.

Część druga

### KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

Jedźmy i pijmy, bo jutro pomrzemy. Izajasz, R. XXII. 13.

Król Gwoździk i król Ćwieczek stanowili rodzeństwo.

Ukształtowaniem organizmów spokrewnieni; pełnię ży-jcia dopiero w dziurawieniu i tkwieniu osiągnęli; obaj ma-I szynowi, solidni, bez prześwistu skroś cielesność idącego, w którym mieścić się zwykła dusza u istot mniej ważkich i mniej pobyt w skórze ważących: król Ćwieczek i król Gwoździk, we wszystkim innym różnili się tak, jak się różni but od rozkoszowania się butem, jak się różni zasada od przesady; zasadzenie od wykwitu; zasadniczość od wykwinu; wsada od lansady; rosada od sałaty; sałata od bukietu; epoka drewniana od epoki metalicznej...

Król Ćwieczek był z drzewa; król Gwoździk był z kruszcu. Tamtego byt ograniczał się do tkwienia w podeszwie: ten był wszechtkwiący: już to widziałeś go w jakimś meblu, już w murze, już w desce bądź heblowanej, bądź surowej, a niekiedy wtykał się w szynkę, po odwinięciu z niej naskórka.

Ćwieczek był systematyczny; Gwoździka cechowała pewna przypadkowość. Ćwieczek lubił tkwienie ściśle celowe, mianowicie tkwił po to, żeby spajać skórę ze skórą; Gwoździka można było spotkać w białym w ścianą gołkiem i nic nie podtrzymującego.

Ćwieczek bez butów nie miał żadnego znaczenia; Gwoździk posiadał wartość bezwzględną. Zepsuty Ćwieczek był na nic; Gwoździk zepsuty, który stracił łebek, stępał w kończynie albo uległ złamaniu, albo na koniec, zbyt głęboko w dziurce utkwivszy, zardzewiał — mógł jednakowoż na cos się. jeszcze przydać. Po wyjęciu go z dziurki obcega-mi- po sprostowaniu młotkiem i po zaostrzeniu kończyny

91

Z punktu racjonalnej uprawy roli było to błędem, I przynajmniej zapatrywał się na to pewien odłam rozs dnego obywatelstwa, na którego czele stała March\* I wtedy to zaczęły się krwawe bratobójcze walki. Mi chwili, czyli demokracja, z wyobrażeniem nieoskroba: marchwi na piersiach, zajadle uderzyli na partię rojs stów, którzy nosili na lewym ramieniu wizerunek gw< dzika.

Przeciwnicy — jak mówi w takich razach historia rzucali się na siebie z tak niesłychanym impetem (cun tanto impetu), że widziano gwoździe po łebki utopione w marchwiach; marchwie, jedne rozłupane na dwoją a inne ogromnie poprzedziurawiane i z porozszarpywaJ na, posychlaną nacią... Tam, w konającej marchwi tkwi gwoźdź, śmiertelnie rzeził, i jeszcze walczyli; tu, na gwoździu leżała tłusta marchew i zalewała go sokiem... I przy\*j chodziła śmierć, i równała wszystkich: i tych, co chcieli, z pół korzyści, i tych, co wołali o piękno, i dla wszystkich było pole jedną wielką mogiłą, nad którą dusze poległych| szeptały nieżyczliwie: giń pożytku.l — przepadnij nieużytku!...

Koniec końcem wzięła górę partia królewska. Zaraz też na całym obszarze posiadłości królewskich wykarczowano marchew i wszędzie nasiano kwiatów, mianowicie gwoździków, dla upamiętnienia zwycięstwa. Wodzowi na> czelnemu wystawiono pomnik w kształcie smukłego gwoździa, który szpikulcem bodzie niebo, a głową tonie w kwiatkach. Boki cokołu przyozdobiono trupami marchwi



z tkwiącymi w nich, jak włócznie, zwycięzcami. Na jednej ze ścian było wyobrażone pole, po którym król chodząc piechotą i siał. Pod tym widniał napis:

«Lepiej ci urzeczywistnić marzenie, niżli umarzać rzeczywistość\*».

94

H

Dźwignięty z ruin zamek królewski leżał na wzgórzu dziurawił niebo wysokimi wieżami oraz śpiczastością

Łachowych iglic. Wszystkie dolne spadki przedzamkowe zbocza obsadzone były drzewami o liściach podobnych

[to cienkich szydeł zielonych, a drzewa te nosiły nazwę inetów.

Gdziejegdzie, w wyrwach, wykrotach, wpadlinach wadłach rosły, stosownie do plantacyjnych wskazań

.rabiny Ygrek, cytryny, pomarańcze i mandarynki, ażeby idokiem swych złotopłomiennych owalów przywodziły

a myśl żywe, z łon gwoździkowych dziewic uwypuklające się owoce. Kręta droga, onymi owocami, przez dostałość spadłymi usypana, ciężko i w leniwych skrętach podpeł-zaia ku górze, by, zapyłona i znojna, lec u stóp furty zamkowej, na chłodzie granitowego bruku.

Gdy się weszło za furkę, zamek, choć całkiem widny z daleka, ze spodu wzgórza — tu, z bliska, ginął, że tylko baszt obłe spody i ścian poszarpane, przez zieleń liści czerwieniące się, widać było strzepy. Tam i sam kant ostrobo-cznej wieży dźwigał się z posad, przekrawał zwartość liści i nikał w powietrzu jak wyrzucony prostopadle dzirynt. Naokoło zamku, wszędzie, jak woda, pluskał szmerem nieprzejrzanie duży, duży ogród. Rosły tu drzewa, co przypadkowo i bujnie rozczapierzają sieć swoich gałązek, aby nią jak najwięcej zagarnąć blasków. I były tu aleje, równo przycięte, do zielonych, wytwornie szeleszczących ścian podobne; i krzewy tu skupiały się w gąszcz zwarty i nieprzenikliwie milczący; i na rozległych damiach, samotne i niezależne, sterczały pnie drzew sędziwokorych. — wszystkim tym drzewom i krzom, w aromacie własnym i w zapachu cytryn oraz pomarańcz woni miłosnej, od spodu przywiewanej, żywot płynął szczęśliwy i piękny. Bo

rzewa, królewnom podobne, rosną w zewnętrzność, jedna-

0 i dla króla, i dla nie-króla przychylną. Dążnością

95

•^•••••"•1\*1

drzew i królewien rozrost liści i korzeni. Krzewić mnożyć, rozgałęziać w powietrzu i w ziemi, rozpełzać drzewa i królewny, bo tym tylko sposobem ogarnąć. podobna przestrzeń wszelką: i płaską, zrównoważ) i w rozdoły pofalowana, i wzgórną, i urwistą, prze: uciętą.

Na wyniosłości, lśniącej z dala szmaragdowe i k' bok jeden, prostopadle odlupany, gdzieś się zaprzepa stała budowla złożona z kilku rzędów kolumn i z płaski dachu. Kiedy zachodziło słońce, czerwoność prześwityła przez kolumny jak przez olbrzymie palce, któr; obrzeża płonęły, a rdzenie stawały się czarne. Do podm kolumn wchodziło się po stopniach, mchem przezart; i widać stąd było skupione dla wspólnego, rzekłbyś, pamiętywania, drzew korony. Ukryty w głębi ganek, krętych szerokich schodach wiódł na płaszczyznę dać. gdzie można się było upajać zawrotością wyżyny.

Budowla ta, przez króla Gwoździka nie odwiedzi ani przez jego dworzan, którzy mniej wyniosłe, ale wotniejszą rozkosz zapewniające woleli ubikację, os; tniała stała i pusta.

Niekiedy tylko wiatr w złym hi rze przychodził i odłupywał z niej szmat tynku albo, ki indziej, z żarliwym uwielbieniem wyprostowywał ple ce się w rozpadlinach jej zioła.

Dobrze tu byłoby się i patrzeć z góry na morze, przystań.

Oto zawinęło sto białych okrętów, sto gołębic, i żeglar; stęsknieni do ziemi wielmożnej wylądowali szukać k chanek.

A tam znów czeka sto fregat czarnych, sępów sto, a n; pokłady ich wpełzają rzesze ludzkie, ażeby powieźć swi żądze na inne Jady.

Oto na bulwarku miasta kamiennego, pod cieniem arkad, o krok od żaru jasności ukolorowanej refleksem błyskotek, wyległo wszystko, cokolwiek odrętwiałe zadowolenie do nowych zachceń podżega, ku nowym odrętwie-

96

m przywodzi i oczom w potulność fal portowych pół-ne daje zapatrzenie.

A tam, za wrębem ochronnych grobel ciskają się fale Inę dzikie, nie ujarzmione jeszcze i urągliwie huczą n spotulniałym już bałwanom, które porostów groblo-'Ch oblizują zgniłość i' kałem dają szmaragdowość swoją nulać.

A jeszcze dalej, te fale, niby leżące pokotem, ale z któ-  
:h raz po raz bucha strzępiasty biały wyprysk, jak klów  
•śniecie w zwierzu na pozór spokojnym albo jak szloch  
niezmiernym żalu, który w głębie duszy zapadając się,  
po raz na powierzchnię jej wraca i łzami tryska, te  
[e to — pełnia morza. Im głębiej, im dalej, tym morze  
raz mniej rzuca falami, coraz więcej jego płynność się  
isza, aż na koniec twardnieje w zupełną, jednolitą mo-  
[ość tam, gdzie widnokrężny podeprzeć mu trzeba skraj  
ipuły niebieskiej i gdzie niby piórko wyszarpięte wia-  
•m z niebaczących palców dziecka, bieleją żagle znikające.

Na pełnię morza byłoby dobrze stad patrzeć.

I dobrze byłoby się tu i przez rozjarzone przeszło ba-strady, jak ze szpitalnego okna, spoglądać na wracają-

•ch z ćwiczeń żołnierzy, czerwonych i opylonych kurzem, miejskiego błonia — albo na dzieci wychodzące biegać ) zielonych trawnikach — albo na willę zamkniętą i nie lwiedzaną patrzeć — albo na górę wysoką, wianek swój ilegowy coraz wyżej wznoszącą, jakby go chciała ustrzec ziemskiego zbrudzenia i stopniałości.

I dobrze byłoby tu w nocy się na ławie kamiennej, yiatem lipowym usypanej i rozjątrzać gorzkość osamo-uema, które, jak woń niewidzialna, z krzów i drzew ruwa i ssie duszę w nocy, wśród lip kwitnących zbłą-ną.

obrze byłoby na morza samotność stąd patrzeć i na igo wieczną do brzegów tęsknotę, I rozmyślać o uroku

•J Jedyne] chwili, kiedy fala dosięgła najwyższego wznie-"ła l kiedy się nad poziomem waży, nim wyda pienisty Wlat ruchu i nim się rozpadnie;

0flsrB królewny

97

L

i kiedy wahadło wbiega na szczyt amplitudy i przez jeden moment nieruchomieje, zanim się po łuku powrotnym stoczy;

i kiedy rąbek przyływu, niby ust pieszczotą zwiera się z łądem, zanim je odejmie i w otchłań osamotnienia wróci:

t o rozkoszy trwania, zanim się dokonało; o wstrzymanej;!

w biegu nieuniknioności ziszczenia dobrze byłoby tu roz-f myślać.

III

Po całym ogrodzie, na wzgórzach, na polanach lul w zagłębciach cienistych, porzucane były kunsztowne budowania, bądź poważnej, bądź lekkiej, do okoliczności i upodobań przystosowanej zabawie służące.

W jednym pawilonie znajdował się podarowany królowi Gwoździkowi przez wuja misternie urządzonego automat, a raczej związek automatów, stanowiący w całości kształ-J cię mechaniczny ustrój społeczny, o którym mógłby marzyć każdy dobry obywatel. Mechanizm wprawiała w ruch woda. Kiedy było odkręcić wyobrażający koguta--budziciela kurasek, strumień wodny wciekał w turbinę i, niby ze snu obudzone członki, obywatele zaczynali^ i wykonywali w kółko jedno i tę samą czynność, każdemu; od mechanika przeznaczoną. Ten oto rąbał drwa; tamten szył buty; ówdzie ktoś, po dobrym obiedzie, wytwarzał użyteczność, którą zaraz ładowano w wozy hermetyczne i odwożono na pola. Gdzie indziej poeta pisał wiersz na jubileuszową albo jaką inną uroczystość obywatelską; przy nim stał społecznik, co moment się nad poetą nachylał, głaskał go pod brodę, klepał po ramieniu, a niektóre | ustępy wiersza sam mu osobiście poprawiał. Tenże społecznik przechodził potem, a raczej przesuwiał się ni ruchomym druciku w szparce, do innego poety, mnie||

98

widać uzdolnionego, ponieważ nie umiał stosować swoich poezyj do okoliczności: w »mie Pis\*ł rzeczy wł°sennie' a na wiosnę i podczas jubilerów był nastrojony posepnie. Społecznik, patrząc na jego rękopis i dotknięty lekceważeniem mechanizmu kalendarzowego, marszczył się, KIC ai, zżymał się i w przerwach spokojniejszych wskazywał mu niestosowny kierunek jego powołania. Poeta, słuchając tych wskazań, mienił się na twarzyczce, aż, przejęty nic-użytecznością swą socjalną, wychodził na samotny dzie-dzińczyk i popełniał samobójstwo; tuż zaraz odbywał się skromny pogrzeb, na którym tenże społecznik, wciąż przesuwający się na ruchomym druciku w szparce, zaznaczał, wobec nielicznie zebranej gromadki stronników zmarłego, szkodliwość poezji będącej nie na dobie, czyli, jak się w,,-raził, nie nadobnej. Jeszcze w innym miejscu tego organizmu społecznego grupa dam piła czarną kawę; damy przekłuyały się spojrzonkami i wysuwały z ustek czerwone języczki na znak, że robią opinię; a opinia, gdy już jej się sporo zebrało, przez maleńki rynsztocek, wraz z czarną kawą odpływała i czerniła wszystko po dróżce. lam znów jeszcze bvło teatrum miłości zmechanizowanej. Kochankowie zaledwie się sPotkali P° raz P^wszy już maleńki pajacykowaty gen^zek gatunku zniewalał \_ ich do wykonywania całego szeregu śmiesznych ruchów i do wygłaszania ckliwych i kła^nych zaklęć; z tej mieszaniny drgawek i podrygów kon^ulsyjnie maszynkowych, slo-weczek spieszczonych i wykrzykników obłudnych, miał powstać nowy obywatel, D<>wy automacik; kochanka, me marnotrawiąc czasu na długie czekanie, tuż zaraz wydawała tego obywatela na świat, a i sam obywatel, zaraz po urodzeniu, ominąwszy cały próżniaczy okres dojrzewania, bez widocznej dla społeczeństwa korzyści, stawał się z punktu już gotowym i celowo do pewnej pracy znarzą-dzonym automatem: rąbał drwa, szył buty, pisał poezje okolicznościowe i stosowne do okoliczności krytyKi. Drucik, ćwieczek, sztyfcik, gwoździczek, dziurka, szparka -oto co stanowiło artykuły mnotoryczne tego światka...

Gdy

zakręcano kurek z wodą, mechaniczna owa krętanina zatrzymywała się, jakby tknięta paralizem. Dziwnie to i dyskredytujące działało na niektóre zwłaszcza uczynki społeczne. Kochanek, w

momencie wytwórczym zaskoczony przez paraliż, tracił takt i poczucie czasu i przeistaczał się w jakiegoś zwyrodniałego neuropatyka i historyka, który *reve les baisers qui demeurent toujours*, poeta monitowany przez społecznika, zamierał i oczyma w słup postawionymi zdawał się mówić: «jak to, więc nawet śmierć mnie nie uwolni od tortur krytyki społecznej?»; wreszcie, co do obywatela wytwarzającego użyteczną dla pól pożyteczność, to nagle znieruchomienie tego czynu, którego nie można by nazwać jednak rękodziełem, stwarzało sytuację tak fałszywą i napiętą — aczkolwiek pożytkowi i prawdzie służyła — że aż gorsząca. Dlatego, gwoli uniknięcia deprawacji publicznej, zaraz po przykręceniu kurka, spuszczano na te wszystkie sceny społeczne, a które zahamowanie czasu odspołeczniło, pokrowiec.

Całe to urządzenie nazywało się socjalną automato-kracją, czyli sztuką wodnistą, albo wasserkunstem. Król Gwoździk, choć sam już nie pracował, lubił się temu widowisku przyglądać i zniewalał nawet do przypatrywania mu się tę głównie część młodzieży, która się na zatyczki, na spoidła, na skuwy i na rozworowe lony społeczne kształciła.

Po spełnieniu wszystkich prac turbinowych woda, zirytowana, uciekała przez rurę i rozbiegała się po ogrodzie, rżąc i parskając wśród załamywań się strug o dnie kamienistym. Ale wprzód jeszcze, nim się na szerszą wydostawała swobodę, już tam i sam, wśród gęstwiny sprzyjającej uczynom nagannym, zmwom szkodliwym i psotom, kilka pasemek wodnych, przeziębwszy sobie dziurki w ciasnej rurze odpływowej, wytryskiwały radosne i w tęczowych pałaczkach spadały w zielska, pluskały się tam czas jakiś niewidzialne, aż wypływały znów i w węzowych przegubach wolnym ciekim pęzały po zielonej, gęstej murawie.

100

Do jakiegobykolwiek trudu wprężnięto ją, woda nigdy o dążeniu rozlewnym nie zapomina i dotąd prze na ota-mować ją chcące zapory, dotąd szuka, aż ujście sobie prze-żłobi i, uwolniona, albo słońcu daje się unieść w powietrze czyste, albo do morza ucieka i tam znajduje po społeczniczych mechanicznościach zapomnienie.

Był też tam, w ogrodzie, i labirynt urządzony z tarcic, gdzie król z całym dworem rad się zabawiał. Zabawa polegała na tym, że w labirynt posiadający jeden wchód i jedno miejsce bez wyjścia wprowadzano najmłodszą i najpiękniejszą damę-dziurkę wraz z wybranym dla niej przez rodziców stron obojga kawalerem-gwoździ-kiem. Gdy po dłuższym lub krótszym błądzeniu, wybrańcy znaleźli się na koniec w owym położeniu bez wyjścia, labirynt, za naciskiem tamże będącej sprężyny, szedł w górę i oczom patrzących miłe nieraz i radosne przedstawiało się widowisko. Na gwoździku wieszano order, dziurkę otulano welonem, król młodej parze błogosławił i wieczorem odbywał się bal z tańcami. Labiryntową scenę bez wyjścia odtwarzano w salonie, przy czym ścianami labiryntu były taneczne pary. Nazywało się to weselem i serce na ten widok rosło, jak w ogóle na widok wszystkiego, co pogodne, zdrowe i przyjemne i przez sankcję społeczną dozwolone.

IV

W takim to ogrodzie i w takich odnowionych ruinach zamku mieszkał król Gwoździk i używał pełni życia, złożonej z samych rozkoszy.

Co rano młoda niewolnica budziła jego królewskość łaskotaniem w pięty. Król wstawał, zaczem dwóch łazie-bników szorowało go mokrym piaskiem i trzymając za głowę, pocierało mu koniec o naoliwioną osetkę. Potem

101

inni dwaj służbiści przynosili go do wanny z krwią młodych marchwianek, córek demokratycznego drobiazgu, umyślnie na to, aby być zarżnięte, rozmnażanych w ustroni ogrodowej. Następnie ciż służbiści oplukiwali króla w letnim odwarze z gwoździków i cynamonu, suszyli ręcznikami ugrzanymi chuchaniem czystych dziewcząt gwoździcznych; szatny

podawał mu futerał i król na parę godzin pogażał się w lubym spoczynku. Wówczas nadworny poeta, Sztyfcik, albo jaki inny muz ulubieniec, składali mu pierwociny swoich utworów; miało to jednak miejsce nie zawsze, lecz osobliwie wtedy, gdy na króla niezbyt rychłe i nie tak, jak zalecała higiena, obfite występowały poty; król wyęczał mózg, aby poetyczną przenośnię zrozumieć, i wówczas wilgoć i krew marchwianek, którą nadmiernie był przesiąknięty, przez pory jego królewsko-ści zdrowotnie się sączyła.

Dzięki takiemu postępowaniu mięśnie króla Gwoździka były żelazne, wąsy gwoździkowato sterczące, głos tenorowy, metaliczny i na wskroś przenikający; usposobienie ducha pogodne, zdrowe i optymistyczne. Ażeby już przy sposobności raz skończyć z cechami zewnętrznymi króla, dodajmy tu, że łebek miał duży, lśnią cy, i środkowa część ciała wypukła; wskutek tego nadmiernego rozrostu średniej części, król zmuszony był w chodzie nieco w tył się podawać, co na pierwszy rzut oka mogło być uważane za pyszność.

Środkowa ta część, zwana z przodu brzuchem, a z tyłu — tyłem, musiała być wydatna, bo w niej mieściły się narzędzia rozkoszy najważniejsze: rezerwuar do wchłaniania napojów i zbiornik do przetrawiania jadał. Na tyle zaś król zwykle siadywał, co stanowiło rozkosz siedzeniową. Brzucha król używał czasem nie tylko do trawienia: pokładał się na nim, legi wał, i to była rozkosz — legalna.

Wydatność królewskiego brzucha i tyłu nie była jednakże taka, aby nie pragnęło się już ich powiększać. Owszem. Król Gwoździk marzył o zaokrągleniu swej środkowej części ciała zupełnym. Była to jego idea kosmicznej

102

wszechokrągłości. To centrum idealne, ku któremu wszystko się zbiega, według zapatrywań królewskich, nie mogło się mieścić ani w głowie, bo nadmierny jej rozrost nie pozwoliłby trzymać się jej na karku; ani w nogach, bo zbytnia nóg wybujałość, jeźliby stanowiła tylko rozwinięcie zarysu nożności, nigdy by ich do kształtu kulistego nie doprowadziła. Ten więc złoty środek okrągłościowy musiał być koniecznie w brzuchu. Z brzucha ożywcze ciepło rozchodzi się na cały organizm, który kwitnie i powoli ubłogosławieniem pęcznieje.

Po kąpeli król rzeński, zdrów i gotów do czynu, załatwiał sprawy państwa, mianowicie: układanie jadłospisów; opracowywanie nowych figur tanecznych; rozwiązywanie zagadek, szarad i logogryfów; obcinanie kuponów i łebków od cygar na biednych; prowadzenie statystycznego wykazu tychże biednych; uczenie się na pamięć mów; oglądanie obrazków podniecających męskość i przymierzanie nowych futerałów.

Po wyczerpaniu tych zajęć król wraz z całym dworem udawał się do ogrodu i tamże wśród drzew i kwiatów się zabawiał. Kwiaty przez króla Gwoździka były podlewane własnoręcznie, pieszczone, muskane listek po listku i w różnych oświetleniach oglądane. Upodobawszy sobie który z kwiatów nad inne, król żywcem go zjadał... Przez cały czas tego królewskiego obcowania z kwiatami, grała poukrywana w krzaczach kapela i wyborną tonacją potęgowała mu rozkosz.

Królewicz z Wezyrem wkroczyli w jakiś sklepiony krużganek. Ich stąpań głos dudnił o sklepienie, odbijał się, spadał na posadzkę marmurową, ażeby znów się odbić, uderzyć o wysokościenny mur krużganku, stoczyć się z niego, popełznąć dołem, westchnąć i zamrzeć w dalekich ścian załomach.

103

1

Wezyr kończył zaczętą gdzie indziej rozmowę z królewiczem.

— Chociażbyś — mówił — najmocniej oplatał wizję objęciem, zawsze ci ona wymyka się na progu rzeczywistości; a im prędzej chcesz się z nią przekraść, im bardziej ją oplatałeś, tym snadniej ona skazuje cię na obudzenie... Rzekłbyś, istnieją dwa światy: zjawia jednego jest

zaprzeczeniem realnej prawdziwości drugiego; kiedy jeden nabiera kolorów żywszych, drugi blednie... Ale na linii granicznej dwóch tych światów jest moment krótki taki. że zjawia i prawda stanowią tożsamość i że przestajesz dziwić się cudom i jako cud podziwiasz prawdę. I zostaje ci po niej, po tej chwili, aromat, którym owiany szukać będziesz z rzeczy ziemskich takiej, żeby, jak tamte, widzia-dlane, wtrącały cię w upojność doznaną we śnie, i choć wiesz, że jej nie znajdziesz, szukać będziesz w zjawie tylko rzeczy takiej, bo wszelka inna obudzi w tobie trwogę daremnej zatrąty i ofiary wzgardzonym bogom...

— BOGOM — powtórzyło echo wklęsłego nad ich głowami sklepienia.

Królewicz, jak ktoś niedawno zbudzony ze snu, rzucił wokoło oczami.

Znajdowali się w dziedzińcu sklepionym całkowicie, ale widnym. Światło padało z górnych okien różnokolorowymi smugami i ogniskowało się w środku dziedzińca, w fontannie, której wypryski okalały cokół filaru, podobne do wiotkich, odchylających się od spodu pnia drzewnego latorośli. Z głowicy filaru wyrastały żebra ostro-luków; podtrzymywane przez nie wnęki sklepienia wisiały nad posadzką, jak cieniste liście. Kończyny wszystkich tych, obrzeżających wnęki żeber pożądliwie spływały ku niskim słupom o kapitelach rżniętych w królewien torsy. Słupy biegły rzędem naokoło środkowej cysterny, otulonej w rosę.

Wezyr wziął królewicza za rękę i idąc wskazywał na te ciosane w kamieniu torsy i twarze królewien, które jakoby ze snu budzone, kolejno odmykały oczy i patrzyły,

T I

każda z innym wyrazem, chociaż wyraz ten u każdej by} zarówno piękny.

— Patrz — mówił Wezyr: — Ta uśmiecha się jednemu, swojemu, i nikomu już by tak uśmiechać się nie mo-gła...

ta druga — radosna śmiechem należącym do wszystkich...

tej uśmiech znaczy, że główka, w której się zrodził, nieświadoma swej urodziwości, przed tym się pochyli, kto ją dostrzec umiał i wyróżnić...

tamta zachęca wszystkich i dla wszystkich będzie jej uśmieszek jednaki, jak maska z marmuru, na którą słońce nie pada... w tej spojrzeniu migoce zaświat, a na łuku jej warg drżą ziemskie pożądania...

tej uśmiech mówi, że jest świetlistym odbiciem zdarzenia tak małego i tak bardzo osobistego, że tylko ona sama się nim może cieszyć i ci, którzy ją kochają nade wszystko...

tej usta śmieją się do czegoś obecnego, a oczy, przysłonięte zamyśleniem w głąb idącym, jak gdyby chciały we własnej głębinie dojrzeć krańców bezbrzeżności...

tej oczy, zda się, oczekują tylko spotkania z czyimś wzrokiem, ażeby rozbliysnąć...

ta patrzy tak, jak gdyby z jej twarzy uleciał przed chwilą ból rozkoszy, tylko cień po nim trwa jeszcze...

tej usta już mają się odemknąć, a w głębiach jej oczu tai się zachwyt...

ta spokojna i cicha i tak skupiona w sobie, jak rzeka przed upadkiem w przepaść...

Tej spojrzenie mówi, że oglądała rzeczy, nad które nic piękniejszego widzieć się nie spodziewa...

Tak chodzili królewicz z Wezyrem i podnosząc lub zniżając oczy, oglądali. Każda królewna, pod ich spojrzeniami, ożywała w marmurze, a gdy ją minęli, znów kamieniała.

104

105

— Patrz, królewiczu, ile tu różnic, a przecie każda nowo spotkana królewna będzie inna i będzie się czymś różniła od reszty.

— Co do mnie — rzekł królewicz — ja nie cenię tych różnic, bo dla mnie, poza moją królewną, innych króle-wien nie ma.

— Błóżnisz, królewiczu. Powoduje tobą żądza, która wyje do żeru i oślepią cię na wszystko. Zapoznawać resztę wszechrzeczy poza królowną, wyrzekać się ich, znaczy urągać stworzeniu, być niejako wżgardzicielem tych rzeczy. Jeżeli pragniemy jednej, to wszystkie inne, odciągające nas od tego jedyneęo celu, wroęie są nam. A więc, królewiczu, dążąc do użycia, czyli kochając monokrólew-nie, jesteś wrogiem natury.

Królewicz oburzył się.

— Jak to? Więc miłość moja byłaby występkiem przeciwko przyrodzeniu? Nie, mój panie, byłoby raczej zbrodnią, gdybym nie dążył do jej zaspokojenia. Miłość jest we mnie stworzona, i źle bym robił, gdybym jej nie słuchał. Miłość dla królowny uważam za coś tak droęiego, że bym oddał życie za nią...

— Aby z nią żyć. Ładna logika! Oddałbym życie, aby żyć! O miłosna obłudo! O miłości, tak zwana miłości, córko fałszu, podstępu i udania, przystrajających jedynie prawdziwą żądę, na to istniejącą, żeby mogły powstawać nowa żądzopłodne i żądzolutne stworzenia!...

Królewicz milczał i bezradnie patrzył na pluszczący wodotrysk. Twarze marmurowych królewien, naokoło cysterny, wychylały się z głowic kolumn, jakby nasłuchując, i uśmiechały się uśmiechami idącymi z głębi ich dusz kamiennych — uśmiechami do nikogo nie należącymi, do nikogo wyłącznie -nie zwróconymi.

Wezyr podstawił dłoń pod strumień i usiłował schwytać połyskujące krople, ale te, zaraz po upadku na jego" dłoń, płaszczyły się; rozplýwały.

— Oto zupełnie jak uniesienie miłosne, tak jest każda

106

z tych wodnych kroplel: połyskuje, wyrzucona z serca, i spada w basen, spłaszczona, rozplýnięta.

Królewicz nachmurzył się.

\_ Wszystko jedno — rzekł — wolę umrzeć z kochania, niż umrzeć, zem nie kochał.

— Amen — odparł Wezyr z uroczystą drwiną. — Dość mam tej służby u niewolnika... Tak, u niewolnika królowny, która jest sama niewolnicą natury... Łudziłem się co do ciebie, królewiczu. Myślałem, że ci przez drogę wylecą z głowy te głupstwa. Nie masz przyjaźni dla mnie, który ci wiernie służyłem i służę... Wolisz królownę, która tobą gardzi... nie mniej od mnie. Żegnam.

To powiedziawszy, Wezyr wstał i spiesznie skręcił w jakiś boczny korytarz. Miał już w nim zniknąć, kiedy królewicz, przestraszony, zaczął wołać:

— Czekaj no, hej, czekaj.

A dopędziwszy Wezyra, rzekł miękko:

— No, nie gniewaj się. I miałbyś serce tak mię porzucać samego w tej obczyźnie?

— Miałbym — rzekł Wezyr z udaną sroęością.

— Daj pokój — westchnął królewicz. — Cóż by mi zostało, gdybyś i ty mię odszedł?

— Zostałaby ci, królewiczu, konieczność radzenia sobie samemu, a to bardzo dobra towarzj^szka.

— Twarda i straszna.

— No, no, już nie gniewajmy się — rzekł Wezyr i uścisnęli się z królewiczem serdecznie.

VI

Tu dał się słyszeć, zrazu słabo, potem coraz mocniej występujący dźwięk, podobny do zgrzytania gwoździem p marmur, i z obszernych podwoi, które otwarły się nagle, wyłonił się orszak królewski.

Na czele kroczyła gwardia, złożona z przednieęo żolnie-

107

rza różnych autoramentów. Szły więc oddziały: hałasów kończastych, rosłych bretnali, ciężkich rozworodzierźnych lonów, niezłomnych dziurowlazów i krzepkich deskospo-jów; szły zwartymi

szeregami trzcinale, pleszniki, głowa-cze, łatniaki, deskale i nity. Potem król Gwoździk z królową Dziurką prowadzili się pod rękę, poprzedzani przez chór śpiewaków i grajków, a za nimi, w pewnym oddaleniu, stukało po marmurze ostrymi nóżkami grono dworzan, gwoździczków i dziureczek; pochód zamykała tylna straż, złożona z dziurochronów i szlusnagli. Wszystko to było przybrane w świetne stroje, na których migotały klejnoty rzadkiej barwy, ogromu i promienistości. Klejnoty jedne były naszyte, inne w kruszcu osadzone diademów, zbrój i pierścieni, a jeszcze inne zwisały wolno i, tęczom ruchomym podobne, lśniły na szyj alabastrach, we włosów turmalinach i na sukien złotogłowiu.

Chór śpiewaków, dziuroślawów, śpiewał, idąc, hymn na cześć króla i królowej; przygrywała śpiewowi kapela, grając na przeróżnych instrumentach, jako to: fistuły, rzę-półki, pokwiki, piskoje, bzykuliny, gęśle, smętylety, guły, piejaki, fałszownice i cymkany.

Królewicz z Wezyrem zapatrzeni byli w to widowisko, gdy wtem gwóźdź Bretnal, dowódca gwardii, podszytu-tał do nich i grzecznie, ale stanowczo zażądał okazania paszportów. Co? Nie mają paszportów? Aresztować ich! Hej tam!

Zwabiona tym hałasem, podeszła królewska para. Król szedł, podając się trochę w tył z powodu lekkiej wypukłości brzusznej. Korona, którą niedbale na tył czaszki nasuniętą niósł, była o dziewięciu pałkach, dziewięć uosabiających zmysłów: zmysł kiszkowy, zmysł trzustkowy, zmysł żołądkowy, zmysł korzenny, zmysł winny, zmysł potniczy, zmysł balowy, zmysł taneczny i zmysł kopulacyjny. Miał król na sobie stalowy płaszcz, nabijany pałowymi gwoździkami, do ziemi sięgający i nawet po niej jedwabście pochrzęstujący.

108

Królowa, pod rękę przez króla prowadzona, dźwigała na główce koronę taką, jak jej małżonek — dziewięcio-zmysłową. Na twarzyczce jej, przywidłej już, widać było zmarszczki i bruzdki, znamiona przeżytych rozkoszy nawałnic. Pachniała bardzo perfumami.

— Kto jesteście i skąd przybywacie? — spytał król głosem metalicznym. Królowa raczyła oglądać cudzoziemców przez lorgnon.

— Spadliśmy prosto z nieba — rzekł Wezyr — i, jak widzę, trafiliśmy w niebo drugie.

— Niebo? — zdziwił się król Gwoździk. — Co to jest niebo?

— C'est de la mythologie — odpowiedziała królowa, ponieważ damy w rzeczach niebieskich posiadają ziemską znajomość rzeczy.

Dwór skupił się około tej głównej grupy. Gwardia usunęła się na bok, tylko dowódca jej, Bretnal, czekał grzeczny, ale surowy, żeby pomimo wszystko ponowić swoje żądanie paszportów.

— Niebo — rzekł Wezyr — jest to oderwanie 'się od ziemi i życie pięknem.

— Alboż ja nie żyję pięknem? — zdziwił się król i klepnął dłońią w filar malachitowy, tuż obok uwypuklający swoją zieloność.

— Nie, królu, wybac, ale żyjesz tylko poczuciem dro-gości tych pięknych rzeczy i ich dotykiem. Jeżeliby ma-terialność ich nie ciążyła na twoich oczach, doznawałbyś nudy.

— Au fait — wyrwało się królowi. — Mówiła mi to samo królewna. Musicie się znać?

Królewicz, dotąd milczący, na wzmiankę króla Gwoździka o królewnie, zawołał:

— Królewna? O, gdzie jest królewna? Wezyr uszczypnął go w łokieć i rzekł:

— Prawdziwie, królu, znamy królewne. Jesteśmy wysłańcami do niej od najoćwieczeńskiego Ćwieczka. Miałem nawet list polecający, ale mi w drodze zaginał.

109

Tu dowódca gwardii, Bretnal, niedowierzająco ją chrząkać.

— Phi! — rzekł król pogardliwie na wzmiankę o królu Ćwieczku. — Ce bon oncle avec ses propos de bottes! Cóż porabia?

— Zdrow, bo mało żyje duchem.



— Duchem?... Qu'est-ce? — zdziwił się król Gwoździk ponownie.  
— Duchem — c'est p'tetre du parfum — odpowiedziała królowa.  
— Parfaitement — zgodził się Wezyr — bo na przykład zapach kwiatów to ich dusza.  
— Dusza? — znów spytał król, akcentując ostatnią zgłoskę. — Dusza c'est p'tetre du chat?  
— Je sais, moi — rzekła królowa. — Dusza znaczy Vame, l'amour...  
— Właśnie, l'amour — przytaknął Wezyr — l'amoui c'est qu'il y a du beau, czyli niebo, poezja...  
— Nous voici eclaires — zaśmiał się Gwoździk. — Co do mnie, nie wierzę w niebo. Dla mnie istnieje tylko to, w co mogę fourrer le doigt, wetknąć palec... c'pas?...  
Tu król Gwoździk poklepał królowę po talii, tak jak poprzednio słup malachitowy.  
— I to jest prawdziwa poezja... Mais en fait de la poesie... Monsieur Chtyftsik... Przedstawiam wam mego poetę nadwornego, rzeczywistego poetę, mon poetę social. Jest to poeta bez chimer, którym wy zdajecie się służyć. Niech będzie wam za przewodnika w moich posiadłościach.  
Rzekłszy to, król Gwoździk skinął ręką cudzoziemcom, drugim skinieniem wprowadził w ruch swój orszak, i cała ta barwna, spożytywna fala zaczęła z szelestem rozmówek, śmieszków, żarcików i poszczebiotywań odpływać.  
Więc naprzód, krokiem mierzonym, ruszyła gwardia rośłych bretnali, potem szły oddziały kończastych balasów, ciężkich rozworodzierznych lonów, mężnych dziurowla-zów i długich, utkliwych deskospojów. Zaczem stapał król Gwoździk z królową Dziurką, poprzedzani chórem śpiewa-

ków, a za nimi, w pewnym oddaleniu, zgrzytało po marmurze grono wonnych pomniejszych gwoździczek i gwoź-dziczek oraz dziuruchen, dziurelek, dziurkiń i dziurutek. Pochód zamykała tylna straż dziurochronów i szlusnagli.

Śpiewając, brzęcząc i szeleszcząc, przeszli, i tylko w dalekich gankach i korytarzach rozlegało się zgrzytliwe, coraz bardziej ucichające postukiwanie ich nówek.

Królewicz, Wezyr i poeta Sztyfcik zostali sami.

## VII

— Jeżeli miły mi wypadł obowiązek służyć panom za przewodnika — rzekł uprzejmie Sztyfcik — je presume, że najwłaściwiej będzie, gdy zaczniemy od apartamentu dla cudzoziemców.

— Dziękujemy panu — odparł Wezyr. — Pan będzie łaskaw prowadzić.  
I ruszyli. Sztyfcik, wysunięty naprzód o całą długość, szedł i zwracał się od czasu do czasu półobrotem do królewicza i Wezyra.

Mijali szereg komnat przesyconych odurzającymi, coraz odmienniejszymi, ale jeden mającymi pierwiastek perfumami. Pachniały im w różnych odcieniach wonie: «sueur d'une danseuse», «l'infini de la chair» i «l'eternite femi-nine». Obecność tych zapachów objaśniał Sztyfcik.

— Dzień w dzień — mówił — odbywają się w salonach tych bale, rauty, jour fixy, tombole, maskary, żywe obrazy, turnieje, walki kwiatowe, bazary et toutes les especes de galas. Należytego przewietrzenia być nie może et pour cause. La cause en est trop de causerie, vous savez... On danse, on fait son trou-badinage dans les petits coins, et voilaj... En/in c'est la vie, n'est ce pas bien, messieurs?

— Oui — odrzekł Wezyr — ii parait que pour un clou c'est le trou qui est le clou de la vie.

— Mais vous voila un jarceur exquis! — uradował się

110

111

Sztyfcik. — Nous aliens etre amis... si toutefois je ne m'y engage pas avec trop de hardiesse? — dodał grzecznie, zwracając się do królewicza.

Ale królewicz nic nie odpowiedział.

— Pour mon avis — ciągnął Sztyfcik z lekkim przekąsem w kierunku królewicza — w życiu trzeba na wszystko znaleźć odpowiedź: autant de trous autant de chevilles... Każda spódniczka ma swego paniczka, a przynajmniej powinna mieć... On se grise, on consomme la vie avec l'intensite, on fait son oeuvre de chair, sur quoi on fait un trou a la lunę — on se meurt... Było się szczęśliwym! I ten tylko qui a mis la piece d cote du trou, ten tylko arate są wie... jest degenerate — zwyrodniał.

— Et l'eternite? — spytał Wezyr.

— Mais puisque on a etę toute są vie occupe de l'eternel... feminin, ponieważ całe życie tkwiło się w wiekuistości... kobiecej, on est dispense d'en fair e grand cas apres la mort, można o niej nie myśleć po śmierci.

— Enfin, vous etes dans le vrai peut-etre — rzekł Wezyr w zamyśleniu, bo chciał skierować rozmowę na królownę.

Szli czas jakiś w milczeniu. Ich kroki stukwały po mozaikowych płytach korytarzy, przejść i dziedzińców albo znów cichły w głębokich kobiercach buduarów. I raz w rax napotykała ich spoista wysmukłość, czystość i tęgość marmurowych kolumn, pilastrów, ścian, owrębień i posągów, i raz w raz ogarniał ich zaduch przeżutego, zbezduszniatego życia; wszędzie różowił się, bielił, srebrzył, zasepiał czarno-ścią i wypręzał nieskazitelne, żyłaste członki marmur — symbol zamkniętego w sobie ducha, nieczule chłodnego na zewnątrzność, i wszędzie przenikały ich niewidzialne, roz-wiewne, lotne zapachy, uosobiające wszechwkradliwą upojność żądź cielesnych. I walczył chłód marmurowy z napływem tych pijanych, z pięknych ciał powstałych woni, które chwiały się, rzekłbyś, w salach niewidzialnymi falami, niby rozważając, na czyim by spokoju mogły się rozłożyć i do czyjej duszy wlać pożądań narkozę?

112

\_ Czy oprócz nas nie ma tu obecnie innych gości cudzoziemskich? — spytał Wezyr.

\_ Do niedawna — rzekł Sztyfcik — była tu królowna, ale teraz jej nie ma.

\_ Nie ma? — zawołał królewicz, zachwiał się jak ciało martwe, z którego by nagle duszę wyjęto; wsparł się o pobliską kolumnę i przywarł do niej lic bladość. Wezyr objął go ramieniem, przyciągnął do siebie i pocieszał, szepcząc do ucha mu, tak żeby Sztyfcik, zdziwiony tym niespodzianym objawem bóleści, nic nie słyszał.

— Uspokój się, królewiczu. Obiecałem, że cię nie porzucę, aż znajdziemy królownę. Nie ma jej tu, no to pójdziemy gdzie indziej.

Królewicz nieco oprzytomniał i szli jeszcze czas jakiś.

— Ale otóż jesteście chez nous — zawołał Sztyfcik i wprowadził gości do pokoiów gościnnych; po czym, skłoniwszy się, wyszedł.

Strudzeni wędrownicy, po długiej tułaczce, znaleźli się wreszcie pod dachem, który zwieszał nad nimi wysokie opiekuńcze sklepienie i gdzie ze wszystkich kątów wyzierał ku nim i nęcił upajający, narkotyczny komfort.

VIII

Udzielana im przez Sztyfcika wiadomość, że i tu królowny nie ma, ugodziła w królewicza boleśnie. Później jednak, gdy się z Wezyrem w posiadłościach króla Gwoździka rozejrzeli, rad był nawet z nieobecności swej ukochanej w tym siedlisku spożytywnego szczęścia. Lecz za słaby to był wzgląd, aby jego tęsknotę rozproszyć. Gdzie królowna się obraca, nie było wiadomo. Nawet Sztyfcik nic o tym nie wiedział. Miał tylko swoje domysły, których zresztą nie skąpił, i swoje pewne dane, których rad królewiczowi udzielał, zwłaszcza widząc, jak ten je łakomie chwyta. Fantazjował nawet, dla pociechy królewicza, gdyż pocieszać jest tak przyjemnie.

• Ofiara któlewny

Pewnego razu siedzieli w ogrodzie, w altanie. Złote kwiatowe pęki, bujnie wysypujące się z gałązek, jak włosy 'rozplecione w słońcu, chwiały się lekko i sączyły zapach.

— Kochali się w niej wszyscy — prawil Sztyfcik — począwszy od Jego Mości Giroflsé'a...

— Kogo? — drgnął królewicz.

— Giroflee to gwoździk, król Gwoździk. Zatem, począwszy od Gwoździka... Girofleem nazwałem go tak... i to niech zostanie między nami. Poeci wszystkich czasów lubili *crimen laesae rnaiestatis*, z wyjątkiem pozbawionych dowcipu stypendystów. Co do mnie, lubię «*crimen*», bo to przypomina «*carmen*», a przy tym «*crimen*» ma w środku *rim*, to jest rym, czyli to, co stanowi poezję. Zresztą jestem osobistym przyjacielem króla *et parmi les amis*...

— Ale mów mi o królowie — rzekł zniecierpliwiony królewicz.

— Mówiąc o królu, jestem blisko królowy. Król różni się od królowy tym, że jest rymem męskim. Król jest *crimen mas*... Otóż, *pour ne pas deriver*... kochał się w królowie *Bretnal*.

— Kto?

— Oficer, który zażądał od was paszportów, *Bretnal, le betail, le sabretache!*.. *Et son frere d'Ufnal*...

— Kto?

— *Uf*... *passez moi le mot*... *Uff*-nal, gwóźdź do przykuwania podków końskich.

— Któż jeszcze? — pytał królewicz gorączkowo.

— *Que sais-je, moi?* Wszyscy. Wszyscy byli w nią poutkwiwani, jak szprychy w piastę koła.

— A ona? Gdzież jest ona?

— Królowa jest tam, gdzie jej serce. A ponieważ jej tu nie ma, *alors*...

— O, gdzie jest królowa? — westchnął królewicz.

Wyszli z altany i przechadzali się czas jakiś po ogrodzie. Po chwili milczenia królewicz, patrząc badawczo na Sztyfcik a, spytał:

114

\_ A ty sam? Czy ją kochałeś?

\_ Czym ją kochał? — wykrzyknął Sztyfcik. Zabrzda-kał w instrument, z którym zawsze się nosił, i rzekł recitawo:

Czym jest kochanie?

Nożem w pierś wbitym i tkwiącym w ranie. Ale wyjmijcie nóż mi ten z łona, *Odetchnie* z ulgą człowiek, i — skona.

Przedeklamowawszy to, Sztyfcik mówił:

— Oto do czego mię doprowadziła miłość ku królowie: — do ułożenia tej śpiewki. Tak, *bardzom* się w niej kochał.

— A ona?

— Hm, tak... Ona... niewątpliwie. Byliśmy ze sobą na bliskiej stopie, byliśmy już na *tete-a-tete*. Królewicz wzdrygnął się.

— Jeżeli tak — wtrącił *Wezyr*, łagodząc wzrokiem zzymającego się królewicza. — Jeżeli byliście ze sobą tak blisko, to niewątpliwie musisz mieć jakieś listy, kartki — coś, co by nam pomogło w odszukaniu królowy.

— Tak, miałem — rzekł zakłopotany nieco Sztyfcik — *mam, au moins* sądzę, że *mam*...

Tu *trubadur* pogrzebał w kilku kieszonkach i rzeczywiście znalazł jakiś zwitek i okazał *Wezyrowi*, a temu z rąk wyrwał go królewicz. Sztyfcik chciał się już na królewicza rzucić, ale *Wezyr* położył na nim wzrok swój i pod jego ciężarem, a może własną naraz ogarnięty do-brodusznącią, śpiewak umitygował się i tylko *rumieniec* nie chciał mu z twarzy schodzić. Ale *rumieniec* ten raczej zawstydenie niż jakakolwiek gniewność zdradzał. Jakoż był po temu

powód, albowiem kartki nie stanowiły zgoła listu, lecz fragmenty z pamiętnika, snadź ukradkiem wyrwane, o czym świadczyły wystrzępienia po brzegach i nad-darcia.

Królewicz schwytał te drogocenne dla siebie strzępy

115

i uciekł z nimi w głąb ogrodu, aby je tam, w spokoju, odczytać.

Położył się na trawie i czytał.

IX

...Nuży mię tutejsze towarzystwo gwoździków i dziurek. Duszą gwoździka jest poziome tkwienie; duszą dziurki — pustka lub gwoździk.

...Król Gwoździk w niebie tkwić nie może, bo gdyby nawet chciał, to ażeby to skutecznić, trzeba by wprzód stanąć na głowie, a na to nie pozwala majestat i le regime des convenances.

...Plus on s'acharne de trouver un heros, plus on se degoute de l'hero'isme.

...Co to jest siła?... Poznałam tu dwa gwoździe o budowie żelaznej, au physique de fer. Jeden, Ufnal — co za nazwa, mon Dieu! — dziurawi podkowy, ale trzeba go młotkiem bić po łebku, ażeby go pogłębić. Drugi, Bretnal — co za wyraz! przypominający słowo Brutal! — oficer gwardii, umie przebić deskę, ale trzeba go z niej wyciągać obcęgami.

...Takie stworzenie jak gwoździk ca me degoute. Mocne to jest, przebija materię, ale tkwi w niej po łebek. Lepiej jest przebijać — choćby wzrokiem — niebo. Oh, je voudrais etre un oiseau, moi.

...Gwoźdź Bretnal lubi osiadłość w drzewie mebli. Ufnal gwoźdź lubi przywarcie do ziemi łebkiem i zawsze tkwi uwięziony w podkowie kopyta.

...O mój królewiczu, gdzie jesteś?

...Ce pauvre d'Ufnal opowiadał mi, że nie lubi twardych bruków, bo mu ścierają łebek, ale mówił, że to ma i dobrą stronę. Bo kiedy mu łebek się zetrze i zrobi mniejszy, wtedy on sam może z podkowy wyleźć i zgubić się. Poznałam go właśnie w jednej z takich chwil zatracenia, gdy wypadłszy z podkowy, leżał samotnie w kurzu ziemi.

116

11 disait qu'il m'aimerait, mais ii a jini par me percer de są niaiserie.

...L'heros ce n'est pas l'Eros, c'est plutót le rhinoceros.

...Bretnal qui s'efforce toujours de me raconter de są /orce. 11 a beau d'en parler, ii n'aime que les grossieretés, les sports, les danses et les beaux uniformes avec des bordes d'or. Jest on ce qu'on dit — gwoźdź czynu. A od wyrazu «czyn» pochodzi wyraz «czynownik».

...On chante les chansons en honneur du jait. Mais ii n'existe pas un fait sans un faiseur. Eh bien, la voie de jaits commis par les Bretnals ce n'est pas la voie de faits les plus hauts.

...Tutejszy dwór zajmuje się gramami. Gra się tu w ślełą babkę, w ludzkość, w społeczny labirynt, w układanie szarad i logogryfów, w rauty i tombale na biedne pordezewiałe gwoździki i pozanieczyszczane dziurki... Bawią się też tu słowami. Ta ostatnia zabawa najwięcej jeszcze warta. Nauczyłam się jej i do pewnej doszłam w niej wprawy.

...Le roi Gwoździk qui est trois fois girofle: ii est lie avec son gtte, ze swoją norą (autant dire un trou); ii git et ronfle, et enfin są radne, jego pierwiastek jest gir(ofle), a gir znaczy żyr ou bien żer, od pożerać.

...Trubadur c'est Trou-badour, czyli za rdzeń mający trou. Zamiast wyrazu trubadur można równie dobrze powiedzieć trou-badin, czyli pustak, comme un trou, tuba-dyl, trubadylek.

...Trou-ville jest to miejscowość kąpielowa dla dziurek. Wszystkie znakomitsze gwoździki wyjeżdżają tam na lato.

...Jeżeli wziąć wyraz bourde — fałsz i z wyrazem joie — uciecha połączyć, to wypadnie: bourdejoie, czyli bourgeois, co znaczy fałszywy ucieszyciel.

...Bourgeois rozłożyć się daje na bourg — miejscina i geóle — ciemnica, czyli bourgeois znaczyć może też ciemna miejscina, albo po prostu — dziura.

...Przywiązanie bourgeois do ziemi można nazwać ziemiomanią albo zlemiaństwem — geomanie (geomania),

117

co znów ze słowem bourde — fałsz daje bourgeomanie, czyli burzomanie. — fałszywe przywiązanie do ziemi.

...Bordailler znaczy kręcić się w kółko przy lądzie (ziemi), więc bordelować znaczy być burzujem.

...Z połączenia wyrazów: borcie"—galon joie—radość, otrzymujemy borde—joie, czyli bordżuj lub burżuj, to jest istota radująca się z galonów.

...Bourgeois czyli burgoń wreszcie jest podobniuteńki do słowa bourgeon — trąd.

...Bourgeois to siła. Oui, U est fort, mais aussi ii est foręat, farceur, farcin, jard de mangeailles, fardó de la vertu (confortable et convenable et... farysće).

...Bourgeois aime les choses fortes: H aime le confort, le roquefort, la fortunę, les forteresses et l'ordinaire fort ...Bourgeois est de meme: fort-malin, fort-malitorne, fort-manat, fort-mamouth, fort-mamillaire, fortrait, forma-liste, forte en gueule, forfan, et ii est fort malheureuz de le connaitre.

...Bourgeois c'est un clou. On dit, że coś jest zagwoź-dżone, to znaczy bez wylotu w przestrzeń, zmartwiałe, zgwoździczałe, zburżuaziała enfin.

...Encore le bourgeois, pour faire la fortunę, U fait des forfaits (legitimes).

...Czym żyć tu, oh, mon &me, czym żyć? Est-ce-que l'ame ne serait-elle l'amour? O królewiczu.

...II y en a ici un poeę, un tres poeę, meme un trou-poete, c'est a dire un trou-badour. Avec sa gaitę d'un moineau ii m'atristę, et aięc są belle et poetięque tristesse (autant dire-trousstesse, parce qu'il porte de belles trouses) — ii ne me fait que rire.

...Słyszałam, że tu gdzieś niedaleko za ogrodem króla Gwoździka jest kraj zwany Filistynią, i że tam jest podobno więzienie, w którym Filistynowie trzymają poetów prawdziwych, opętanych przez chimery, wrogie Filistynom. Et ce sont eux, les forts, qui les surveillent Chciałabym tam być i to widzieć. O królewiczu! Le plus loin d'ici bas! le plus loin possible! Oh, la vie gaie, que c'est triste!

Królewicz, przeczytawszy to wszystko jednym tchem, całował po wielokroć razy te kartki, zapominając, że pobyt ich w kieszonce Szyfcika, choć mógł je właściwymi trubadurów emanacjami upoetycenić, wszelako pozbawił je też woni bezpośredniego zetknięcia się z królowną.

Czytał, ale z początku mniej zważał na znaczenie zawartych w pamiętniku myśli. Upajała go bardziej świadomość, że to pisała ona, królowna, swoją kochaną, kro-lewnieńską ręką, i że to w jej główce zrodziły się te myśli — mniejsza o ich znaczenie — myśli, które teraz oto przed jego oczami ozywają, fruują, radosne, do jego serca, jak do znajomego gniazda ptaki — do gniazda-serca, które je zawsze gorącym przyjmowało pragnieniem.

Później, leżąc na trawie, królewicz zaczął rozpamiętywać to, co czytał.

Nad nim było niebo czyste, jak oczy u kochanej królowny, i tak jak przez to niebo chmurki dziecięco małe i radosne, tak przez duszę królewicza przepływały zabarwione treścią odczytanych kartek dumania.

— Tęskniła za mną! O niebo, jakżeś cudnie modre! Jak pachną drzewa!... Gwoździk, król, na głowie stanąć by musiał, żeby utkwic się w niebo... II git et ronfle... O ha, ha!... L'heros c'est le rhinoceros... to on, król Gwoździk! Bourde — fałsz i joie — radość znaczą bourgeois]... Trubadur znaczy trubadylek... o ha, ha!... Bretnal, Ufnal — les clous forts... Chciałabyś ptakiem

być, moja królewno, aby móc wyfrunąć i żyć niebem? O, i ja bym chciał być ptakiem, aby z góry, ze stropu tego nieba, widzieć, gdzie jesteś... O, gdzie jesteś, królewno? O, gdzie jest moja królewna?...

Jasne niebo przekreślił cień. Królewicz sposepniał i wstawszy, zaczął wolno przesuwając się w trawach i płoszyć roje brzękliwych muszek. Szedł coraz spieszniej, jakby się naraz przeląkł samotności i jakby do coraz szybsze-

118

119

go chodu naglił go uspiony na chwilą i znów obudzony niepokój tęsknoty.

Na zakręcie alei spotkał Wezyra ze Sztyfcikiem. Wezyr indagował trubadura o szczegóły dotyczące się królewny. Królewicz trafił właśnie na opowieść śpiewaka o Bretnalu i Ufnalu.

— Są to — mówił Sztyfcik — dwaj parweniusze. Bretnal, starszy, to prostak i brutal; nim został oficerem, miał do czynienia z deskami podłóg. Teraz, zubożony enor-mement, nie cierpi wyrazów: «podłoga» i «deska», i zamiast nich używa zwrotów: «posadzka» lub «parquet» i «boazeria». To jego tic, śmiesznośćka qui nous amuse. Co do Ufnala, ten głównie tkwi w podkowach końskich i podziela z nimi losy. Gwóźdź to dobry, miękki i czuły, gnący się łatwo, ale uparty na punkcie wymowy. Kiedy go nieraz poprawiałem, zapewniał, że choć z mówieniem mu trudno, ale za to czuje... Merci pour tous les sentiments d'un &tre qui passent sa vie dans le corne d'un quadrupede Tkwiąc w kopycie, przejął się cechami zwierząt: nie szanuje mebli. Imaginez-vous, że ze względu na brata Bretnala ma dostęp do salonów królewskich, i tu nieraz, wobec wszystkich, spluwa na podłogę lub posadzkę, jakby powiedział Bretnal. Ufnal spluwa, a Bretnal wścieka się na niego i nazywa zakałą rodziny. Ca nous amuse. Obadwaj ubiegali się o względy królewny... Widywałem ją to z jednym, to z drugim...

Hm — rzekł Wezyr — to nieprawdopodobne. I cóż by mogło się w nich królewnie podobać?

— Qui sait?... Któż zna serce królewny.

Tu Sztyfcik westchnął, i dłuższy czas panowało milczenie. Po czym trubadur zdjął z pleców instrument, nastroił go starannie i wydobywając zeń minorową przygrywkę, tak zadeklamował:

Jeżeli szczęścia znajdziesz cud,

Nie pytaj: skąd on? czyś nań zasłużył?

Bierz! Złud spożywaj dzień, nim się schmurzył!

Ten najmądrzejszy, kto użył w bród.

Śpiewak przerwał melodią słów i tylko na instrumencie dalej pobrzękiwał. Wezyr rzekł półgębkiem do królewicza:

— Czy nie jest ta piosenka wyi-azem i twoich zapatrywań miłosnych albo raczej twoich nieświadomych aspiracji?

Królewicz wzdrygnął się. Zabolalo go zestawienie ze Sztyfcikiem, który upokarzał go swoją śpiewaczością.

— Nie krzywdź tak moich aspiracji — rzekł gniewnie. — Ja kocham tylko jedną, a tamten...

— Toteż różnica jest tylko ilościowa.

Królewicz westchnął przygnębiony. Westchnął, przy czym do nozdrzy wpłynęła mu słodka woń ogrodu, i to jeszcze bardziej go- rozżaliło i podnieciło w nim tęsknotę.

— O, dlaczego to — zawołał — trzeba się rozłączać, jeżeli się raz pokochało? Czy nie lepej byłoby tak przywrzeć się do siebie, żeby już nic a nic nie mogło ani zajmować, ani bawić, ani nasycać prócz takiego nierozzerwalnego trwania?... Są podobno takie ptaki, żyjące parami, że gdy jedno zabić, to drugie samo umiera. Są żyjotka takie... Są kwiaty, których kochanek i kochanka na jednej żyją łądydze... Są... być powinny związki tak mocne, nierozzerwalne, a gdy je roztargnąć — uśmiercające... O, gdzie jest moja królewna?

Sztyfcik, który żartobliwie tym uzalaniem się królewicza wtórował, uciszył struny i rzekł:

— Co do mnie, to chciałbym ukazywać się swej lubej tylko w chwilach natchnienia, kiedy mi talent gonfle la poitrine, kiedy mię rozpiera i wypręża. Wypowiedzieć się, przelać w nią swoje napięcie i odejść. Ale hélas, nie zawsze tak można. W moim położeniu ii faut tout les temps trou-badiner, puisque on est trou-badour.

— Więc nie znane ci są męczarnie rozłąki? — spytał królewicz.

— Nie — odparł Sztyfcik stanowczo. — Czasem tylko, jeżeli mi się instrument zepsuje, oddalam się, naprawiani go i wracam do swej damy.

120

121

— A jeżeli przez ten czas ktoś inny przyjdzie grać damie?

— To niech gra. Moja dama tylko mnie naprawdę słucha. Il s'agit, aby osobistością swej damy tak ovladnąć, żeby swoją własną personnalite zatraciła. Zresztą, damy to lubią... I nawet królowna, ta wasza, czas jakiś tak była we mnie zadurzona...

— Co? — zawołał królewicz. — Królowna miałaby się durzyć w tobie? w takim?...

— Panowie! panowie! — łagodził Wezyr i kładł na nich kolejno ciężar swego wzroku.

Spór ucichł. Królewicza rychło obezwładniła znów żalność, osobliwie, gdy wiatr ciepły, wieczorny, przywiał z głębi ogrodowej falę woni. Sztyfcik nie gniewał się. Owszem, wybuch zazdrości królewicza mile go polectał. Wśród zapadającego wieczoru, kiedy aloesów i mimoz ambra silniej zapachniała, targnął strunami i począł śpiewać:

Są w miłości, oprócz kwiatu, ciernie. Choć twa dama ciebie kocha wiernie, Ale nieraz w innych okiem strzeli. Są w miłości, oprócz kwiatów, ciernie.

Przerwał śpiew, nadał wtórowi radosne, słodkie tempo i podjął znów:

Trubadura cierń nie onieśmieli, Bo miłosny kocha kwiat niezmiernie, Pąs rumieńców kocha na lic bieli... Trubadura cierń nie onieśmieli.

Odmienił wtór, nadał mu brzmienie posmętku i śpiewał dalej:

Od ukłucia choć i krew pocieknie, Lecz w miłosnym się zamiarze wskóra. Potem ranka się zagoi pięknie, Choć serdecznej trochę krwi pocieknie.

122

Tu Sztyfcik wprawił struny w namiętne, taneczne drganie i dorzucił:

Krwi gorącość i śpiew trubadura Której-że to damy nie urzeknie? Któraż dama się obroni, która, Przed miłosną mocą trubadura?

Śpiewak skończył wysokim akordem i znać było, że jest z siebie nader zadowolony.

— Chodźmy stąd — rzekł królewicz i nie podawszy raki Sztyfcikowi, pociągnął Wezyra i poszli.

Gdy uszli już nieco, doleciał ich zza klombów, niby goniąc, odgłos:

Któraż dama się obroni, która, Przed miłosną mocą trubadura?

Zapadał wieczór. Królewicz objął za szyję Wezyra i szli aleją w połowie zasłaną cieniem, a w połowie roz-świeconą mocnym blaskiem księżycowym.

— O, gdzie jest królowna? — wołał w królewiczu krzyk skargi i własnego potępienia. Przytulał się do Wezyra i chronił przy nim od niewidzialnych widm, gotowych wypełznąć zza ciemnych krzewin.

Tak idąc, przyszli na wzgórze, gdzie nad jarem stały kolumny jakiejś samotnej ruiny. Tułacze siedli tam, osłonięci nocą, i królewicz zadumał się o królownie. I zdało mu się, że jest w innym, bardziej znajomym ogrodzie, że siedzi nad wodą, na usypanej okwiatem lip ławie kamiennej, że przy nim jest królowna i że już im świat nic roz-kosniejszego nad tę ich przy sobie obecność dać nie może.

Ale nie było przy nim królowny, tylko Wezyr, i obu ich obejmowała noc księżycowa, pachnąca aloesem.

123

XI

I

— BAL!... BAL!... BAL!... — dzwonił wielki dzwon zamkowy o godzinie przednocnej, kiedy światła sztuczne, w oczy patrzącym bijąc, usiłują pamięć świeżo zgasłego dnia wypalić. — BAL!... BAL!... BAL!...

Dzwon był dawniej świątynny, lecz z upadkiem zamku stracił był serce i ledwie trzymał się na spróchniałym belkowaniu. Później, gdy za króla Gwoździka ruiny odświeżano, dostał serce nowe i nowy do wiszenia bal dębowy. Przez wdzięczność, teraz gorliwie dyndał tym nowym sercem, umiarkowańszej wielkości, i nawoływał: — BAL!... BAL!... BAL!...

Dawniej spiżowe łkania dzwonu targały falą powietrzną tak, że szlochała wraz z nimi. Dziś, małe serce dzwonu zdobywało się na ton o wiele cichszy, podobny do słodkiego zapachu, który wypełza z konchy kwiatowej i rozplywa się w przestrzeni miękko i aromatycznie: — BAL!... BAL!... BAL!...

Usłyszawszy pobudkę dzwonu, goście z pomniejszych komnat, gdzie, na grona podzieleni, bawili się rozmową, tłumnie zaczęli przechodzić do wielkiej sali balowej.

Szli więc panowie gwoździe i gwoździki jaśnieszlifowani i jaśnieulani, i jaśniekuci, i jaśniemaszynowi, i jaśnieręczni. Ze stalowo-żelaznym pokolatywaniem ł pobrzękiem szli głowacze i trzcinale, i pleszniki, i łatniaki, i des-kale, i nity. Wzdłuż przejść poustawiana stała gwardia roslých bretnalów, kończastych balasów, krzepkich rozwo-rodzierznych lonów, niezłomnych dziurowlazów i maszynowo tresowanych deskospojów. Tu i ówdzie przebijał się drabant z oddziału dziurochronów i szlusnagli.

Na galerii przygrywała kapela, grająca na przeróżnych instrumentach, jako to: fletrowersy, oboje, kruty, wężo-wnice, surmy, lutnie, wioliny, piszczele i inne.

Kapela grała, a panowie gwoździe szli.

Szedł ksiązę Rej, magnat najpopularniejszy, najsza-

124

nowniejszy w narodzie, ponieważ najwięcej z magnatów zjadał.

Szedł hrabia Kork-O-Ciąg, sławny swoją przeszłością, która tyle win zawiera, że na ich zbutelkowanie szkła by nie starczyło.

Szedł baron L'As-a-Tout, świeżo uszlachcony i umitrowany za niesłychanie bohaterkie operacje giełdowe.

Szedł hrabia Aspik, mistrz od winta z gwoździem i przysypką. W sporach międzynarodowych o to: jak i kiedy spod trzeciej damy wychodzić lub pod trzecią damę chodzić? — on zabierał głos szanowny i rozstrzygający.

Szedł hrabia Gwint, znawca gieryłasza i baccarata, nieomylny psycholog, który po rozdaniu kart wiedział z miny, jakie u kogo atuty i jak się umiejętnie można obchodzić bez żadnego «honoru».

Szedł ksiązę Niezłomny, nazwany tak od przodka, który nie był złamany we troje: w kolanach, w krzyżu i w karku.

Szedł baron Clou-Trou-Etti, zawołany filantrop, zbieracz łebków od starych gwoździ i opilków dla biednych.

Szedł baron von Neh-Mer, milioner, głoszący zasadę: «Ich nehme mein Prozent, wo ich ihn finde».



Szedł szlachcic Zardzewiały, poczciwością spatynowany, z herbem: długie wąsy, krótki rozum i serce na dłoni. Za godło używał pięknego wiersza: «Myśmy ubodzy, nie kopjemy złota, ale w sercu prawda, ale w ustach cnota».

Szedł Prawdzic-Krętacki, znawca sposobu: jak z dobrem ogólnym łączyć przyrost własnych majątkości.

Szedł wielmożny Niechsięcochcedzieje, szedł pan Byle-użyć, szedł pan Hulajdusza. szedł pan Abyhandelszedł, szedł pan Ut-Uczony i wielu, wielu innych.

Za starszyzną długim błyskotliwym szeregiem ciągnęła młodzież. Szli młodzi, piękni, bitliwi i pitliwi gwoździ-kowie.

Szedł młody Dziurobojski, zdobywca alków damskich nie znający namysłu, zwycięski.

125

Szedł młody Wychylewski, butelek kruszyciel, smagły jak trzcina krajowa i jak ona w środku pusty.

Szedł młody Bywalewicz, przyjaciel serdeczny mężów zniedołężniałych, a gorące żony mających.

Szedł młody Miło-Bydłęcki, w arkanach sztuki bilardowej jak w otwartej księdze czytający.

Szli młodzi panowie: Nieprawicz, Nikczemny, Podlecki, Koperczacki, Dziarski, Jurny, Amant, Gzicki, Pifcnicki i wielu, wielu innych.

Szlifując nóżkami po marmurze, szli i tonęli w sali balowej.

XII

Królewicz z Wezyrem i Sztyfcik z nimi, jako ich przewodnik, stali wgłębeni we framugę i przyglądali się temu świetnemu korowodowi. Sztyfcik udzielał objaśnień z werwą, a gdy panowie i młodzieńcy wszyscy koło nich przeszli, wprowadził swoich pupilów na salę balową.

Sala ta, podobnie jak dzwon, niegdyś była świątynna. Znać to było po jej figurze, po kolumnach, po sklepieniu i po marmurowej posadzce ozdobionej mozaikowymi napisami. Obecnie, tam gdzie było dawniej prezbiterium, dziś stał bufet, nawa służyła do tańców, a kaplice poprzerabia-no na alkowy. Całą wysokość wnętrza przepołowiono, uformowawszy piętro na gabinety do gier i innych zabaw.

Królewicz i Wezyr, mając na przedzie Sztyfcika, przeciskali się przez tłum.

— Permettez, madame! Excusez, monsieur! Pardon! — wołał co moment Sztyfcik, i dawano im drogę.

Gdy nareszcie precisnęli się do sali, natychmiast ogarnął ich odmęt ciał podobny do rozgrzanego, płynnego żywiołu połyskującego jedwabiem, kwiatami, bielą łon i ra- mion, czernią gwoździków kutych i lśnieniem stalowym gwoździków lanych. Damy, damcie, damecziki, damulki

j damuchny otoczyły zaraz cudzoziemców, ośmielone przez obecność Sztyfcika, i niezwłocznie poczęły ich oczarowy-wać ugrzywieniem włosów, łon jasnością i ramion, i bioder okrągłizną. Sztyfcika damy co znajomsze zaczęły rozrywać na wszystkie strony; każda prosiła o piosenkę dla niej i każda chwytiała go za instrument, przez ramię mu na wstędze się zwieszający. Jedna, natarczywsza, tak go ułapiła, że nie mógł się od niej uwolnić.

— Pobądźcie tu, panowie — rzekł do Wezyra i królewicza — ja niedługo wrócę. Mam do pomówienia z tą damą... un moment. — Panie, panie — dodał, zwracając się do jakiegoś gwoździka. — Zabaw no tu panów tymczasem. Tu was będę szukał. A bientót.

I skłoniwszy się, odszedł, wprowadzony przez namolną damę.

— Służę panom — rzekł nowy towarzysz. Był to gwóźdź z bardzo kutą miną i bardzo oszlifowany na wszystkich kantach, ze świecącym łebkiem, z biegającymi, pełnymi sprytu, ostrymi oczkami, wścibiającymi się wszędzie i wypatrującymi, gdzie by i w co by się wetknąć.

Wtykał się wszędzie. Dlatego znał wszystkich wraz z najdrobniejszymi przywiązanymi do każdego plotkami i ploteczkami. Stojąc przy królewiczu z Wezyrem, pyłował im półgłosem nazwiska przechodzących damek i nie pomijał żadnej bez powiedzenia czegośkolwiek o jej stroju,

— Jedna dama od drugiej — mówił — różni się tylko strojem. Strój to jej dusza. Dość jej strój opisać, aby powiedzieć o niej wszystko. Tenez! Ala — satin bouton de mille baisers; Mercia — gazę d'oise; Niuta — drap mousseline presale, stanik d la guepe; Mira — voile a jour Jumbo--Jumbo; Ścisława — mousseline blanche nuptial; Cału-ska — satin pepiniere; Zuzia — toile d'araignee sangsue; Icha — tulle de chemisette cauchemar; Mila — nuage d'une brouille amoureuse; Ola — satin bleu ciel prima vera; Ircia — vert d'eau stagnante; Sufcia — mousseline de soie blasee; Mela — white of liberty; Chamcia — tissu de reves matinales; Zizi — gazę Ukereve, fartuszek guimpe; Hala —\*•

126

127

gris perle oeil de perse; Fela — ivoire aux treilles de cils d'une biche; Cesia — ma'is brule aux rayons de soleil; Wala — satin duchesse de Taiti; Mmi — mousseline point vierge ponts brules; Cicha — satin bouton d'or emprunte... Crepe camelot; Stoffe de mois de mai; Satin fane points de reverie; Mousseline d'or chair fraiche; Vert d'eau coulante...

Potok określeń sprawozdawcy zatrzymała w tym miejscu jakaś starsza i szanowniejsza, lecz brzydka dama; oczko jej koronki zahaczyło się o guzik gwoździka. Gdy się rozczepili i gdy dama bawiąca kogo się da oczkami odeszła, rzekł:

— Vieux drap conjugal... Ledwim się odczepił od niej, Matrona! Papuzi profil! Patrzcie, oto jest i więcej tych oczkujących jeszcze ma-ruderek, ruderek, derek starych i ruderek. Oto: Satin ruine... Rouge fane... Uimagina-tion lasse... Brides lachees... Chair plise... Langage posi-tij... Chignon faux... Coeur chiffonné... Oeillade de vi-pere...

Rozjaśnieni poprzednio młodych dam widokiem, królewicz i Wezyr, teraz, na starsze damy patrząc, z wolna zasepili się i sponurzeli. Radzi więc byli, gdy od gadatliwego i uszczypliwego nieco sprawozdawcy uwolnił ich Szyfcik. Szyfcik po powrocie wyglądał jakby coś zgubił. Snadź j poufna rozmowa z damą wyjałowiła go ze śpiewnej roz-j lewności. Wyglądał jak wyciągnięty ze ściany obciążkarni] i przy wyjmowaniu cokolwiek skrzywiony.

Posuwając się z wolna, we trzech, znaleźli się w po-3 środku sali, gdzie właśnie utorowywano koło dla tańczą-j cych. Zajmował się tym gorliwie dorodny, sprężysty gwoź-j dzik, którego trubadur nazwał kretylionem.

— Messieurs! Choisissez vos dames! — ordynował Kre-tylion. — On va danser.

Gdy środek sali spod nóg się wyłonił, widać było na marmurowych taflach inkrustowany złotem napis. Zacief kawiony Wezyr pociągnął królewicza i weszli bliżej w kc ło, aby napis ów przeczytać.

— En arriere, s'il vous plait! — zawołał hrabia Krety-lion, ujrzawszy jakichś obcych mu panów, nie zwracających uwagi na jego zarządzenia taneczne. — Qui est-ce qui sont ces individus? — spytał, zwracając się do kogoś w tłumie.

— Mais ce sont les inuites du roi tombes du ciel — ktoś odpowiedział.

— Du ciel?... Est ce que cela existe-t-il encore? — rzekł hrabia i podszedłszy do intruzów obejrzał ich przez lorgnon.

— Ezcusez, messieurs — rzekł — on va danser... A widząc oczy Wezyra skierowane na napis mozaikowy, dodał:

— C'est du grec. Par ci, par la. ii y en a encore de ces anciennes loques d'apophtegme... Mais on va bientôt les effacer.

Gdy hrabia mówił, Wezyr i królewicz przeczytali zagrożony usunięciem napis. Napis brzmiał:

NON CONTEMPLANTIBUS NOBIS QUAE

YIDENTUR SED QUAE NON YIDENTUR.

QUAE ENIM YIDENTUR TEMPORALIA SVNT,

QUAE ENIM NON YIDENTUR AETERNA.

Królewicz i Wezyr usunęli się z koła. Zaczęto tańce i naraz fale nóg i nówek zalały tę w marmurze inkrustowaną pobożną sentencję.

128

Ofiara królowy

L

XIII

Żaden z nas niech próżen nie bądź! rozpuszcie: wszędzie zostawijmy znak! rozkoszy, gdyż ta jest częśćka nasza i ten f jest dział.

Ks. Mądrości, R. n, 9. J

— Avancez! — Oeillade! — Embrassade! — Coups det mains! — Roucoulade! — grzmiała komenda wodzireja^ Wszystkie gazy, tiule, weby, muśliny, krepy, kamloty i jedwabie; wszystkie plisy, fałdy, bufy, bryty, treny i ko-| romki; wszystkie wcięcia stanów i wycięcia staników dar wraz ze szmelcowanym lśnieniem gorsów i nówek panowi najprzeróżniejszego kalibru, i kuty, i lany, i maszyno-| wych, i ręcznych: — wszystko to zwierzało się i rozlatywa-| j ło, skupiało i rozkupiało, tupotało i wrzało, szurało nóżka-| mi, jak woda po żwirze, bulkotało śmiechem i pieniało się słówek wytryskiem, rozhuśtane i rozbałwanione jak mo-| rze. A nad morzem, do mew podobne, wirem porwane, po-| fruwały strzępki tiulów, gaz i muślinów. I jak czasem! z fal morskich natłoku wysunie się jedna, niby zmęczona, ociekająca mlecznymi burzynami, i z dala od tłumnej głębi j kładzie się na piach wybrzeża: — tak z masy tańczących [ odłączały się niekiedy pary, on powłóczący nóżkami, ona rozwachlowana i pianą tiulów rozmiękłych owinięta, i siadali w omdleniu na obitych grodeturem ławach, niby naj łasze plaży. I jak morze, kiedy cichnie w pewnych momentach, rozmyśla, w który by gład nadbrzeżny o najbardziej opornej piersi uderzyć, tak i tu: w gwarze tańca raptem nastawała przerwa, niby oddech, niby chwilowe zastanowienie hulaszczego żywiołu, i znów, odetchnąwszy, pędził odmet tupotań, śmiechów, szelestów jedwabnych i kłębów pian muślinowych, migocąc ramion i łon błyskawicami; biegł i uderzał, i rozpryskiwał się o marmurowy chłodne filary.

Z chóru, podobne do różnośpiewnego ptactwa, sfru-|

ły dźwięki orkiestrowe, siadały na białych szyjach i karkach tanecznie i niby rozmachem skrzydeł poruszały włosy na ich wirujących roztańczonych łebkach. Chmary dźwięków giętkich, turkoczających i płynnych rozsypywały się, rozlewały wzdłuż i wszerz sal, dyrygowane przez twarde i niezłomny rytm taktu, który sam, mocny i w sobie odmierzony, nieczułym się być zdawał na melodyjne nut związki. Ale i takt nawet nieraz zagubiał się w tym roz hulaniu, i wtedy sama jeno jakaś dzika melodia, od taktu wyzwolona, huczała jak wiatr po załomach zamku.

Królewicz z Wezyrem stali i przypatrywali się zabawnie.

— A jak tam paszporty, ha? — wrzasnął im ktoś nad uszami. Był to Bretnal. Śmiał się i rubasznie klepał Wezyra po ramieniu. Wezyr usunął się spod tej pieszczoty dość niegrzecznie i rzekł:

— Wszakże mówiłem już panu, żeśmy glejt zgubili w drodze. Zresztą, czyż paszport tak naprawdę potrzebny?

Bretnal spoważniał.

— Paszport czy potrzebny? Ależ... Wiedźcie, że tylko protekcji króla zawdzięczacie, że nie pociągam was do odpowiedzialności za włóczęgostwo. Lecz oto i sam król nadchodzi. Muszę iść przyłączyć się do świty.

Jakoż z chóru zabrzmiała salwa trąb, tańce ustały i tłum gości rozpołowił się w prawo i w lewo, zostawiwszy w środku wolne przejście dla królewskiej pary.

Król szedł pod rękę nie z królową, tylko z jakąś inną damą, na której widok zadrżał królewicz, bo tak była podobna do jego ukochanej. Takie same duże, pełne tajemnic oczy, które jakby wyglądały czegoś radosnego i w tej chwili zasepiały się pewnością, że to .nie nastąpi; taka sarna jasność twarzyczki; te same usta podobne do rodzącego się kwiatu; ta sama postawa giętka, szczupła i w sobie skupiona... Ale nie była to królowa! Suknię miała gris orgent jedwabną, pokrytą koronkami z rosy brylantowej;

130

131

diadem z pereł obejmował ją za szyję. Przechodząc, spojrzała na królewicza, ale był to wzrok obojętny dla niego i obcy. Serce królewicza ścisnęło się boleśnie.

Król był w stroju narodowym: koszulka stalowa misternie szlifierską robotą wykończona; łebek, podobny do kapelusza, czarno szmelcowany; na kończynach małe zgrabne lakierki; wpół słusznego brzucha przepasany był złotym łańcuchem orderu virtuti essendi, bibendi ac saltandi.

Królowa wyglądała uroczo w sukni mousseline d'or fane, z paillette'ami ze szmaragdów; na piersiach jej, od ich bieli, brylanty lśniły jak od słońca. Prowadził królowę zaokrąglonym ramieniem książe Yalsois, w lennejl od króla Gwoździka zależności będący i wszystkim balom królewskim płacił daninę swoją osobą taneczną obowiązany.

Po wejściu króla w sali wytworzyło się promieniowanie wszystkich w kierunku jego osoby. Wskutek czego koszulka jego stalowa mieniła się, rozżarzając istotniowo, od popielatości aż do ultrafioletu. Był szczęśliwy. Skinął i kapela rzuciła pod niecierpliwe nóżki taneczników nową falę melodii tanecznej.

Grano poloneza. Król szedł w pierwszą parę, a za nim szli panowie gwoździe i gwoździki jaśnieoszlifowani, i jaśniekuci, i jaśnielani, i jaśniemaszynowi, i jaśnierę-czni. Ze stalowo żelaznym pokolatywaniem, pobrzękiem i zgrzytem szli panowie głowacze, i panowie trzcinałe, i panowie pleszniki, i panowie deskale, i panowie latniaki, i panowie nity.

Szli więc książęta: Yalsois, Rej, Wodzirej, Rej-Tan, Niezłomny; szli hrabiowie i baronowie: Kor-Ko-Ciąg, As-a-Tout, Aspik, Gwint, Clou-Trou-Etti, Neh-Mer, szedł szlachcic Zardzewiały i Prawdzic-Krętacki, i Niechsięco-chcedzieje, i Hulajdusza, i Byleużyć, i Abyhandelszedł.; i Ut-Uczony, i wielu, wielu innych. Za sztykutającą lakierowanymi kończynami starszyzną szła młodzież. Szedł mło-3 dy Dziurobojski i Wychylewski, i Rywałewicz, i Miło-By-i

132

dłęcki, i Nieprawicz, i Nikczemny, i Podlecki, i Koper-czacki, i Dziarski, i Jurny, i Amant, i Gzicki, i Piknicki i wielu innych. Każdy z panów prowadził damę, damkę, dameczkę, damuleńkę, damuchną, damusię, damutkę albo damulkę.

I tańczyli.

Z chóru, podobne do różnośpiewnego ptactwa, sfruwały dźwięki orkiestrowe, siadały na białych szyjach i karkach tanecznie i niby rozmachem skrzydeł poruszały włosy na ich wirujących łebkach. Chmary dźwięków płynnych i furkoczących rozsypywały się, rozlewały wzdłuż i wszерz sali, dyrygowane przez twardy i niezłomny rytm taktu, który sam jeden nieczułym się być zdawał na melodyjne nut związku. Ale i takt nawet nieraz gubił się w tym rozhulaniu, i wtedy sama jeno jakaś dzika melodia, od umiaru wyzwolona, huczała i jak wiatr szamotała się po załomach zamku.

#### XIV

Zmęczony gwarem i muzyką, która chcąc zeń przemocą wywołać radość, potraçała tylko w głębinach jego serca napięte struny żałości — królewicz odłączył się od Wezyra i błąkał się po gankach i pokojach, aż znalazł się w owym podwórzcu oszklonym, z fontanną i torsami marmurowych królewien. Ale i tu nie było spokoju. I tu przenikały za królewiczem, choć bledsze, znużeńsze niby, cichsze, ale może właśnie tym bardziej przenikające tony.

A były one to srebrzyście rozpryskliwe, to długą skargą rozplakane, wysokie, wonne i jaskrawo barwne, to znów dziecięce jakby, zdrobniałe, żwawe i radosne. Jedne były jak drzewa rozłożyste, z których wiatr basowe dobywa poszumy; inne były jak liście klombów szeleszczące kochankom w altanie skrytym; inne, takt stanowiące, tony oły równym odmierzeniem swym podobne do berberys-

133

wego w kant strzyżonego żywopłotu; inne były jak kwiaty na cieniutkich łodyżkach nad rabatami wybujale.

Siadł królewicz na balustradzie kamiennej przy fontannie. W jego duszy zaroily się wspomnienia, żywe jak we śnie — wspomnienia krain, wód i łądów mirażu, które już kiedyś oglądał albo które dopiero teraz jawily mu się w rytmach muzycznych.

Rzeki w wąwozach pluszczące, jarzmem skał ciemżone; rzeki poskrępowywane żelazem mostów i granitami bul-warków; rzeki ciekące w śródmieściach, pełne odzwierciadlonych w sobie widoków, jak dusza ludzka wrażeń; —

Ofiarniki pradawne, ołtarzyska owinięte gęstwą zsychną-laurów i bluszczów i w opuszczeniu rozpustym próchniejące; — kolumny marmurowe ruin poobalane, niby odpoczywające po ciężarze architrawów, które kapitelami wspierały ongi; — bożkowie kalecy, żarem paleni, mchem liszajowaci, pootłukani, jak żebracy, i w słońcu uśmiechnięci; —

Drzewa z czubami ekstatycznie chwiejącymi się w lazurach, podobnymi do rąk błagalnie ku niebu wzniesionych... drzewa z koronami rozpadłymi, staczającymi liść ku murawom przyziemnym... drzewa podobne do modlitwy żarliwie szelestem liści szeptanej... drzewa o listowiu podobnym do sukni tanecznej, którą wichr tańca podniósł i odsłonił pień różowymi pnączami porosły; —

Zieloność, jak złoto rozsypane; zieloność, jak postaw tkaniny szmaragdowej; zieloność, jak wody bagienne j i skrzepłe; zieloność szafirom pokrewna, szafirom morza, j które u raf kruszą się w pianę i bieleją; zieloność gajów] oliwnych, pachnących różami!

Przestrzeń słoneczna, na wzgórzach samotnych osiada-j jąca jak aromat; — przestrzeń zblakana w kwiatowych] wnętrzach, w odstępach międzylistkowych; — przestrzel do niezmiernej tęsknoty podobna, jedną krawędzią loti do ziemi przywarta, a drugą złączona z bezkresem.

Czyste wybrzeże nadmorskie, żarem bielone, falai

plakane, wiatrem chłodzone; — żagiel ledwie widzialny, który nie daje poznać: czy zbliża się, czy się oddala; — kędzierzawość fal, które morze bez ustanku z siebie wygarnia i o brzeg roztraça; — wręb widnokregu zanurzony w topiel; — i wspomnienie oczu, w których się, jak to niebo w morza głębinie, tonęło.

#### XV

Kiedy tak przy fontannie siedząc, królewicz snuł dumania, podobnie jak ona smugi perliste — wydało mu się, że jedna z marmurowych królewien ożywa, -schodzi ze swego piedestału i wyciąga ku niemu ramiona. Królewicz czuje ich dotyk; czuje do ust jego przywierające się usta jej, czuje zapach jej włosów, czuje w swoim objęciu tors jej żywy, i w upojeniu — omdlewa.

Ocknął się dopiero, gdy kilka kropel z fontanny trysnęło mu w twarz. Spojrzał na królową, ale ona, ożywszy na chwilę, wróciła na swój piedestał i uśmiechała się nieruchomym uśmiechem, kamiennym.

Ścisnęło się serce królewicza. Żywe piękno dotknęło go, jak fala słońca, i zgasło. Pełen bólu, zapragnął uciec stąd, uciec od samotności i zetknąć się z jakąkolwiek istotą, byle żywą, byle cokolwiek mówiącą, byle dawała pewność, że nie jest mirażem.

Wszedł w pierwszy napotkany korytarz. Idąc nim, ze smętnie zwieszoną głową, naraz potknął się o coś, co mogło być ścianą poprzeczną lub olbrzymim tłómkim, wtłoczonym w całą szerokość korytarza. To coś jednakże wykonywało ruch, pchający królewicza w tył, i grubym basem przemówiło:

•— Qui est la-bas? Permettez que je passe, moi... .

Królewicz chciał uczynić zadość temu żądaniu, ale postać zajmowała cały korytarz i minąć się było niepodobna.

134

135;

— Reculez donc s'il vous plait — basowało zjawisko.!! tonem zniecierpliwionym.

Kiedy królewicz stał jeszcze, nie wiedząc, jak sobie w danym wypadku postąpić, uczuł, że jest z lekka w tył popychany brzuchem grubasa, i mimo woli musiał się cofać. Wreszcie gdy się znaleźli w opuszczonym co tylko przez królewicza podwórku z fontanną, stało się widocznym, że gruba ta postać jest niezmiernie otyłym gwoździem, który stracił wszelkie formy, a raczej nabrał form tak dalece z naturą gwoździową niezgodnych, że już nie można więcej. Dla otyłości chodzić sam nie mogąc, miał poprzytwierdzone do kończyn kółka i na nich był pchany przez dwóch służących, zwanych popychajłami, czyli pousse-pousse'ami.

Monstrum to, obejrawszy królewicza, rzekło albo słuszniej — ryknęło:

— Excusez, monseigneur... Musiałem pana trochę uwstecznić, chociaż nie jestem wstecznikiem... cha! cha! cha! Jestem Kał-Dun.

— Królewicz — rzekł królewicz, podając rękę, która w dłoni tłusciocha utonęła, jak sardynka w gębie wieloryba.

— Enchante — zahuczał wieloryb. — Aż których królewiczów?

— Z tych Bez Ziemi.

— Ostateczności się stykają — zaśmiał się Kał-Dun. — Bo ja jestem bez nieba. Nie widuję go, bo nie ruszam się z zamku. Jestem sans ciel. Siedzę tu i jem... Bo jedzenie, czyli jestestwo c'est l'essentiel! Cha! cha! cha!

Zaśmiał się potężnie ze swego kalamburu i ciągnął:

— Daruje mi pan jeszcze raz, żeś go inkomodował... Uff... ii fait chaud... Comme vous voyez, mogę tylko iść naprzód, w tył cofnąć się nie mogłem. Nie znoszę wstecz-nictwa, a zresztą mam zgodzonych tych popychajłów tylko do popychania.

Tu wskazał na dwóch balasowatych drabów o poważnych służbowych minach.

\_ A czy nie można by — spytał królewicz — mieć dwóch innych służących, którzy by cofali pana, pchając od przodu?

\_ Hm... można by. To jest idea! Pomyślę o tym. No, au revoir! Odjeżdżam, bo niedługo podadzą kolację. No, dalej, chłopcy! Poussez! Poussez!

Popychajłowie oparli ręce o tył swego pana, pchnęli, i Kał-Dun, podobny górze osadzonej na kółkach, z chrzęstem, z zgrzytem i hurkotaniem, odjechał.

Królewicza znów ogarnęła samotność i cisza przerywana tylko szmerem fontanny. Spojrzał na marmurową królową, ale ta już nie ożywała.

Z dalekich wewnątrz zamkowych nawiewany motyw tańca podzwaniał nad fontanną, która odpowiadała mu szelestem kropel.

Wtem dał się słyszeć chód szybki i wszedł Wezyr.

Królewicz rzucił się ku niemu, jak dziecko ku dawno nie oglądanej matce, i opowiedział mu swoje przygody.

XVI

•— Wyjdźmy już — prosił królewicz. — Nie znajdziemy już tu królowny.

Ale wyjść było niepodobna. Wszędzie, dokądkolwiek się zwrócili, natrafiali na pokoje, izby i komnaty, pełne rozbawionego towarzystwa, pełne śmiechu, pisku, chichotu i roj-nego jakiegoś owadziego gwaru. Tam piękną damę zabawiła paczka gwoździów-kawalerów, tu bawił się trubadur piękny uwielbieniem grona dam; ówdzie odbywało się tłumne oczkowanie, wybór wdzięków, dobór apetytów

1 wzajemny siebie zabór.

Damy biegały tam i sam, szeleszcząc spódniczkami

2 jedwabiu, na kształt skrzydełek; spod skrzydełek wychylały się lśniące skrawki, rąbki i strzępki web, tiulów i muślinów. Linie ciał będących w ciągłych poruszeniach;

136

137

sukienek porozfalowywanych wiewanie; rozmów i dowcipów słówka, twarzy gra i oczów połyski: — wszystko to w ucieście chaotycznej skłębiało się, kipiało i grało, jak tonów muzycznych wir albo jak wyraj egzotycznie różno-piórego ptactwa.

Królewicz i Wezyr stali przypatrując się temu widowisku. Podobne ono było do morza. Albo wznosiło się i uderzało we wnęki ścian huczącym wychlusem, albo cichło i poszeptywało niedużymi falami, o białych wystrzępionych brzeżkach pian, które, na żwir upadając, dźwięczą.

Naraz, głuszając hałaśliwość rozbawienia, ozwał się dźwięk jeden, rozgłośny, przeciągły, niepodobny do innych. Był to gong zwołujący na wieczerzę.

Zaczął się odpływ fal gości ku salom jadalnym. Popłynęli wraz z innymi i Wezyr z królewiczem.

Jadalnia, do której się dostali, była królewska i jakoj taka urządzenie miała najprzepyszniejsze. Równy, szeregiem i w półkole poustawiane stoły podobne były do wy-1 twornych, porcelanowo-bielutkich żłobów, w które, zamiast sieczki, ponasypywano talerzy i talerzyków, srebra noży i widelców, kielichów, pucharów, czar, roztruchanów, kieliszków, kilonków i kieliszeczków — i kwiatów.

Szumny, rozmowny tłum przybierał jak woda i zalewał przedziały międzystolne. Siadano. Krawędzie stołów coraz bardziej nikły, oplatanie różnobarwnością szat, klejnotów, cer twarzy, łon nągich i ramion. Na stołach leżały! ręce poustrajane w pierścionki; nad stołami połyskiwały! oczy, łakome zgotowanych nasyceń i na ich widok lśniacej A w głębi tych ciał wszystkich, stołom za ozdobę służących i połowicznie pod nie schowanych, mięsem ciężkie, chłonne wciąż, sokami pożądliwości oślizgłe i spazmem nie-< ustannych trawień skłębione dygotały — TRZEWIA.

Nad salą jadalną pozałamywane wisiały olbrzymie pła-| szczyzny sklepienia, kościół przypominające. Jakoż była sala przerobiona, podobnie jak salon taneczny, z gmachów kościelnych. Twórcy jej ze czcią niegdyś nachylali łuk sklepień, aby jak' najwięcej ogarnąć potrafiły modłów bil

jących z dołu i rozsypać je w dół, na głowy modlących się, błogosławieństwo, jak echo ich własnych modlitew-

Iii

nych wołań.

Dziś w sklepienie uderzał hałas biesiadniczy, a o świątynnym pochodzeniu tej sali jadalnej świadczyły tu i ówdzie jeszcze posągi świętych do murów poprzytwierdzone, wielkie żyrandolowe pająki i lśniący złotem na jednej ze ścian napis:

MANE, TEKEL, UPHARSIN.

XVII

Gwar biesiadniczy polatywał nad stołami, czepiał się blach świeczników, uderzał o nieme posągi świętych, do ścian i kolan poprzykuwane, i w olbrzymiej wnęce sklepienia zebrany, spadał na głów różnostenność jako spotężniałe i harmonijne brzmienie. Tak bowiem pozałamywane były spadki i nachylenia łuków, przez dawnych budowniczych w samotności wysnzione, że głos bijący z dołu, kiedy się wznosił i w kopule mało pogościł, wracał ku dołowi jako spotężniałe, harmonijne echo.

Przy kredensach pod arkadami ganków i ściennych zagłębieniach, podobni do jaskółek, uwijali się czarni menu--mali re'owie i sprawowali rząd przy roznoszeniu jadeł oraz napojów.

Jodłonosze dźwigali na barkach misy, a z mis tych, aczkolwiek były szczelnymi pokrywami zamknięte, wystrzykiwał swąd jedzeniowy, jak z trumien, mieszał się z wonnościami bukietów i strojów i rozpyływał po sali, przez służbę po jej zagłębieniach rozwachlowywany.

Uderzył gong po dwakroć na znak, że już wszyscy goście porozmieszczani byli jak wypadało.

Król i królowa siedzieli w otoczeniu najbliższych dostojników, przy osobnym, nieco wzniesionym stole, ażeby

138

139

L

i

łatwiej mogli być widziani i radować poddanych oczy i serca. Królowa ubrana była tak samo jak przy tańcach, król — inaczej, snadź dla większej wygody. Tułów miał powleczone z cieniutkiego jedwabiu futeralikiem, koszulką raczej, w połowie białą, a w połowie czerwoną, ażeby pijąc wina tych dwóch kolorów, nie znać było materii zachłapań; tak własnych, jako też z kieliszków sąsiadek. Na łebku król miał koronę z róż herbacianych bladeżółtych. Kończyny, zgoła nie obute, trzymał w złotym szafliku, pełnym oliwy. Szaflik z oliwą był na to przeznaczony, aby króla, rozżarzającego się pić, oliwa od nóg ochładzała. Sposób ten, przez nadwornego higienistę zalecony, wielką posiadał zdrowotną doniosłość. Gorąco, wzniecone winem, zamiast uderzać do króla głowy, całkowicie spływało do szaflika i dawało królowi możność picia niemal bez przerwy. Po libacjach oliwę tę zazwyczaj wynoszono w stanie wrzenia.

Przy stole królewskim zasiadali: książę Yalsois, w lennej od króla zależności będący i na balach swoją osobą daninę składać obowiązany; księżęta Rej, Tan, Hulajło; hrabia Kor-Koc-Jąg; baron Szach-Raj-Name; baron Tan-Deta, baron. Han-Del-Es; baron Stop-Rocent; hrabia Asp-Ik; hrabia As-a-Tout; pan Niechsięcochcedzieje, pan Byleuż-Yć, pan Ut-Uczony i jeszcze wielu innych, mniej znakomitych od wymienionych, ale bezwzględnie biorąc, znakomitych.

Z sali głównej rozchodziły się w kształcie promieni jadalnie pomniejsze dla gości rang niższych, aczkolwiek nie i mniej eleganckich.

Królewicz z Wezyrem znaleźli się tuż obok stołu królewskiego. Posadzono ich i dano do towarzystwa po damie. Damy te były o stroju osobliwszym. Obie do współki umiały powiedzieć tylko jedno zdanie:

— ŻYJMY DZIŚ — zaczynała jedna.

— BO JUTRO POMRZEMY — dośpiewywała druga.

XVIII

Zabrział gong po trzykroć i rozpoczął się bankiet.



Spożywcy leli w siebie czarkami «wodę życia», zwaną tak, ponieważ dając pijakom fałszywe przeświadczenie mocy, zabierała im właściwą siłę istotę i zmywała ją, niby woda, tak że na mieliznach dusz ich muł tylko pozostawał. Taką to wodą życia wyobraźnię rozjątrzywszy, goście poczęli chrupać zakąski, szczupłe objętościowo, lecz rodzajem swym kurcz przełyku i pożar wnętrzości wywołujące. Po czym ogień, tak w sobie zażegnany, łagodzą miąższem ostrym zimnawych, wchlipliwych i śliskich, a chłód ich spożyciem wywołany usuwali za pomocą win białych gorąca i żaru zupy, która upicie się zbyt szybko powstrzymując, sprowadza zakąski zjedzone do jednego ciepłikowego mianownika.

Smak po zupie kielichem cierpkiej Yenusali 00 (dwa zera) zakropiwszy, sposobiono się do przyjęcia innych sub-stancjonalniejszych jadał. Zwiastowane biciem w kotły i grzmieniem trąb, następowały po sobie kolejno, do wyboru: côte de vache vertueuse; supreme de la chair fraiche; selle de pre-sale rôtie, sauce la purete; cuisses des alouettes vierges; pou-larde orpheline braisee demi-deuil; mollusque en mayonnaise i dinde (poitrine) immaculee.

Potrawy te, niby grubsze, odpaśniejsze sztuki w zakładzie tuczniczym, niby rola w operze, pogarniowane były lub poprzegradzane płotami jarzyn, ogrodowian i sałat, chóralne zrzeczenie przypominających, a mianowicie: peti-tes pommes dures de province; fonds des culs d'artichauts; asperges impudiques sauce mousseline; petits pois a la du-chesse; les epinards caca de boeuf i jeuilles de tetes de choux d la bonne familie.

Pomiędzy jarzynami i mięsiami tymi płynęły strumienie różnych krzepiących napojów białych, czerwonych, złotych, młodych i starych, świeżych i zgrzybiałych, nieletnich i wiekowych, jako to: jin conjortattf anno quondam;

140

141

St-Clou moussseuz; Chateau ruine; Uindependance perduejł La jouissance eternelle; Porto vomitorio; Lacrimae rerum| i wiele innych.

Z opłotków, cieciami tymi wzmocniony wydostawał się apetyt na dzikie pola i wertepy leśne i trzebił dziczyzny traw zapachem przesiąkła i stęchliznami bagien smakowi-] cię podśmierdła: cailles au lard; becasse bebe, ortolans pzs-i se-en-lit, les frou-frou cuites i inne.

Wyczerpana gonitwą po krzaczach, mokradłach i szuwarach, pożądlivość jedzeniowa znajdowała odpoczynek w powolnym żuciu ciast i ciastek, w dzłamaniu konfitur, w prze-walkowywaniu językiem marcepanów i w gryzieniu owoców.

I zdawałoby się, że już nic ponad słodkość nie mając słodsze, mógłby się kadłub w lubym odrętwieniu pogra-] żyć... Atoli choć spożywcza, widząc się zaspokojoną i trwóz na o to, aby nie zaniknąć, zrywała się jak zwierz, którego chcą nasyceniem ugłaskać, i szarpała swego dozorcę póty aż znów ocykał się i podniecał do nowych sposobów jej podtrzymania, jej —tej chuci spożywczej.

A sposoby one, jak zwinięte gady, leżą w pamięci nałc gów i skoro się jeden z nich zaspokoi, wnet inne rozplatają przeguby cielsk i wyprężają się, żeru łakome, węsząc, ćmo-\* ktając, chłepcąc.

Zapachniały, zacuchnęły nad stołami: wyziewy serów,| w beznadziejnie smrodliwą rozkosz wtrącające; wonie kav nozdrzom lubych i trzewiom zleniwiałym dodające bodźca] likwory i esencje łagodne i skromne w połykaniu, ale zdol-j ne ku nieokiełznanym nieskromnościom podniecić; i d 3 którego pasma, tchem i wydechem rozfałowywane otumaj nią j ą czoła biesiadników nimbem dusznej apoteozy spożyj cia.

Jest to moment rozpamiętywania smaku jadał spożj tych, chwila uroczyście jedyna, kiedy spożywcy, pełni| użycia rzeczy ziemskich nasyceni i przyszłych nasycen pe\ nością radować się mogący — uznojeni pracą żucia, jadłer

niby farszem poopychani, ciężcy, paląc i łykając powolnie likwor, w niewymownej trwają szczęśliwości.

Jest to chwila, kiedy z osowiałych źrenic panów tudzież z mokrych oczu dam, z ust, ustek i usteczek, utrudzonych wszechzuciem, wyparowują odory potraw i napojów i słaniają się po sali jak dusze: dusze czworonogów tucznych, żertych, niepowściągliwie żądnych i w tym jeno dobro upatrujących, co tłuszczu zwiększa zasób; — dusze ptaków bagiennych, których mięso strach przedśmiertny zatrul i które jad ten strachliwości zaszczepiły w ciała spożywców; — dusze win, które zostały zniszczone przez rozpustną, słoniz-nami podzgniętą chuć pragnieniową; — dusze owoców, ze spożytego mięszu jako aromat wyciśnięte... Wszystkie te dusze pozbawionych słonecznego żyt d stworzeń, teraz w postaci niewidzialnych waporów błędzą nad spożycami, z których każdy jest mogiłą ich cielesności, polatują, zwierają się i żenią z perfumowo-potnym wyziewem ciał dam i panów i wielkimi wachlarzami przez służących rozwa-chlowywane, unoszą się i kupią we wnęce kopuły.

### XIX

W takiej to uroczystej, sjestowej chwili zajęczał gong parokrotnie, a gdy się jego faliste dźwięki rozpełzły po wszystkich sal zagłębieniach, król Gwoździk powstał i trzy-mając nogi w szaf liku z oliwą, rzekł:

— Messieurs et dames! Zawsześmy byli tego mniemania, że w naszym państwie tous mes sujets dzielą się na "tych, którzy jedzą, piją i palą, i na tamtych, którzy są jedzeni, paleni i pici. Obecność u nas dziś jako gości pewnych mdywiduów (tu król zezem popatrzal na królewicza i Wezyra) — świadczyć się zdaje o istnieniu jeszcze jednej kategorii stworzeń dziwnych, jak uważam, nie bawiących się jadem, piciem ani paleniem... Wspominali mi o jakimś niebie, o duszy, o tych niedorzecznościach, które jadis były

142

143

l

czymś, ale już dziś inskrypcje tylko naiwne po nich zostały na ścianach (tu król wskazał na jeden z tych napisów, wyciągnawszy ku niemu palec uklejnocony...). Błąkają się jeszcze, helas! po świecie te przesady zakłócające normalny sposób myślenia i tkwienia w życiu. Niniejszym wyrażamy naszą wolę królewską, aby tego nie było (tu król zwrócił się do księcia Reja) — i w tym celu nakazujemy w całym państwie podnieść skalę użycia. To wytworzy nadmiar du fange — passez-moi le mot un peu dur mais inevitable — nadmiar resztek spożycia: des excrements enfin. Atmosfera się zgęści i tkwić w niej będą mogli tylko obywatele gwoździe o należycie rozwiniętych mocnych nosach. Istoty zaś z nieba rodem tamże niech sobie oddychać eterami powracają. Messieurs et Dames! Niech żyje konsumacja! Con-sumons la vie! Mangeons! Buvons! Jouons! Clouons! Trou-ons! Bourjouons! Kous ne sommes que les Stres d'aujourd'hui! Demain — tout est mort!

Tu król podniósł kielich do ust i potężnym haustem grozę ostatniego wyrazu «mort» zalawszy, siadł, aż zachlupo-tała pod jego kończynami oliwa.

Zerwały się okrzyki: Vive le roi! Vive le roi! Krzyczeli wszyscy, tylko królewicz z Wezyrem siedzieli milczący i zgnębieni.

— Żyjmy dziś — kusila sąsiadka królewicza.

— Bo jutro pomrzemy — dośpiewywała sąsiadka Wezyra.

Liczne potoki wina, w odpowiedzi na mowę królewską, poczęły ciec w i tak już obrzękłych biesiadników. I znowu menu-maitre uderzeniem w gong dał znak, że ktoś inny chce mówić. Uciszyło się i głos zabrał młody książę Wodzi-Rej, cel pożądań wszystkich panien (jawny) i

wszystkich mężatek (utajony). Mówił krótko, zwięźle i z ogniem, jak przystało na dziarskiego wodzireja, nawykłego do komendy.

— Damy — rzekł — i kawalerowie! Taniec to życie. Życie to taniec. W tańcu kawaler obiera damę, chwytą ją, obejmuje, zwierca się z nią, puszcza ją, porzuca, zmienia, leci, łapie drugą, kołuje, sunie, podryguje, robi «balanse», kłania się, gnie, wypręża, poci się, palpituje: słowem — żyje.

A w życiu to samo. W życiu kawaler należy do koła — un cercle, comme on dit — kołuje więc, poleca, poleca się, zaleca, wlatuje, zabiega, wkręca się, wykręca, zakręca, trzyma takt, gubi takt, zwija się, wywija, uwija, rej wodzi albo reju słucha, jednym słowem — tańczy. Damy i kawalerowie! Niech żyje taniec. Chame de bras! Roucoulez! Robes en l'air! Embrassez vos dames! Vive la vie! Que la vie vive!

— Que la vie vive! — podchwycili rykiem biesiadnicy^ — Que la vie vive!

I znów pito. I znów gong zapowiedział jakąś mowę. Przemówił hrabia L'As-a-Tout i rzekł:

— Je ne nie pas, nie będę zaprzeczał doniosłego znaczenia tańca i jego roli życiowej. Taniec wyczerpuje, zużywa i dobrze wpływa na konsumpcję. Zgoda, om. Ale ta konsumpcja za jednostronna, czysto zewnętrzna — la consom-ption du physique. Niezbędnym jest dla pełni życia przestrzeganie i konsumpcji wewnętrznej — la consommation psychique. A cóż nam może zapewnić lepiej tę ostatnią jeśli nie gra? On dit: qui cowt s'echauffe. Oui, ale to eszofowanie jest cielesne, tandis qu'aupres d'une tobie de jeux on s'echauffe moralement. W grze rozpala się i spala wnętrze gracza. Perd-t-on ou non, on se consomme. Et ii s'agit donc de se consommer...

— Oui, que le consommatisme prospere! tę aprobatę wielkim haustem St. Clou moussieux extra sec. Otarł ściereczką usta i jeszcze raz krzyknął:

— Oui, que le consommatisme prospere!

Dla przypodobania się królowi powstał taki wrzask okrzyków na cześć spożywania, że już hrabia L'As-a-Tout nie mógł dokończyć swej przerwanej mowy. Wyłożył jednakże koniec jej swej damie. Chciał był przeprowadzić jeszcze zapatrywanie swoje na grę, jako na rodzaj tańca. W grze, jak w tańcu kołem się toczy... fortuna, a za nią biegają kołem spojrzenia partnerów; bankier wodzi rej i komenderuje: Messieurs, faites vos jeux!... Rien ne vas

144

10 Ofiara królowy

145

1 plus! Rouge perd! La couleur gagne! Skaczą serca, oczyj

pieniądze kołują się, toczą, balansuje szczęście...

— Ach, szczęście — westchnęła dama. L'As-a-Tout powstał jeszcze raz i krzyknął.

— Vive la Fortune!

A zaraz okrzyk ten podchwycili inni i krzyczano:

— Niech żyje szczęście!

Wzbierała uciecha nieopisana. Tylko królewicz z Wezy-j rem siedzieli milczący i zgnębieni.

— Żyjmy dziś! — szeptała dama królewicza.

— Bo jutro pomrzemy! — dośpiwywała dama Wezyra]

XX

Pito. Pito już mniej dla smaku, więcej z jakiegoś bezwładu i onieprzytomnienia. Już tu i ówdzie pękała umownat przyzwoitość i zaczynał się orgiastyczny finał uczt. Król: Gwoździak posadził sobie na każde kolano po damie, zniewalał je do nabierania wina w jamkę ustną i nim je zda-; żały połknąć, sam je ustami wypijał z ich ustek. Jedną damą miała twarzyczkę różową, drugą bladą, ale od kró-j; lewskich pieszczot jedna bladła, a druga czerwieniała. Nie-j którzy biesiadnicy, nalawszy wina na wklęsłość dłoni są-;i siadek swych, jak z czar je schleptywali.

Piękni podczasz-kowie i truchankowie roznosili wina. Każdy niósł po dwa truchany z różnym winem i nalewał je w wyciągnięty ku^ niemu kielich; ci z pustymi już naczyniami biegli pędem,; aby je znów napełnić, i w pędzie, z figlarnego umysłu, po-j tręcali i wywracali tych, którzy nieśli dzbany i truchanj pełne. Wino wylewało się i płynęło strugami, oblewając kończyny mężów i kończynki dam, które z wesołym c chotem unosiły w górę falbanek lub zakładały kończynj na kolana swych kawalerów.

Zadzwonił gong, na znak, że nowy mówca ma głos

brać. Oburzony na marnowanie wina, wstał pan Trou-Clou--Etti, znany z cnót filantropijnych, i rzekł:

— Panowie i panie! Chciałbym zwrócić waszą uwagę na to, że jeżeli sami już nie możemy rozlanego wina pić, to należałoby je zebrać i dać do picia służbie niższej lub infirme-rom. Tak, panowie, używajmy, ale nie zapominajmy o biednych. Niech żyje al-trou-izm. Niech żyje filan-trou-pia!

Ale przemówienie to nie wzbudziło żadnego entuzjazmu. Pan Trou-Clou-Etti usiadł zawstydzony. Uwaga ogółu zwróciła się ku innemu przez gong zapowiedzianemu mówcy. Był to książę T-ROU-E, grom przewodniczący. Rzekł:

— La destinee nous introduit dans ce monde en disant: «Monsieur, ou dame, faites votre jeu!,...» Et nous jouons. Ce ne sont que les faibles qui se reculent devant la vie, qui n'est q'un jeu. Nous autres nous jouons. Que nous impor-terait de s'abstenir de la vie, puisque chacun doit jouer un role. On est musicien ou on jait faire de la musique; on est violon ou l'on viole; chacun a une role chance simple ou combinee; chacun gagne ou perd: cherche ou trouve, espe-re ou desesperere; chacun a son tour qui rapporte ou qui de-iourne... Messieurs! Vidons nos coupes en honneur de ce beau jeu qu'on appelle la VIE!

— Que la vie vive! Que la vie vive! — poczęli wołać słuchacze, a mówca T-ROU-E, grom przewodniczący, trzymając w uklejnoconych palcach kielich z winem, którego obręczka mieniła się jak złota, spojrzął po upojonych twarzach, z wolna wypił kielich i usiadł.

— Niech żyje rozkosz! — poczęto wołać.

— Kochajmy się!

— Niech żyje dział rozkoszy!

— Podział ciał!

Tu, naraz, hałaśliwość wrzasków tych opanowując, zahuczał głos czyjsi o niezmiernie niskim basowym brzmieniu. Głos ten podobny był do ryczenia, które wydaje beczka, gdy o jej watory rękami się oparłszy, hukać.

— Vive n'importe quoi! — ryczał głos — pourvu que j uie de quoi boire et manger.

146

147

— Patrz no — rzekł Wezyr do królewicza — nie jest że to twój znajomy Kal-Dun?

Istotnie, był to ów poczciwy grubas. Ucztował w jednym z dalszych pokojów, gdzie zwykle sadzano go osobno, ponieważ zjadał i wypijał tyle, że widok tej pojemności przygnębiająco mógłby na ambicje innych gości wpływać. Teraz wtoczony przez pousse-pousse'ów na salę królewska, ryczał i dawał znaki wielką jak patelnia dłonią, że chce mówić. Gdy wreszcie za pomocą gongu dodzwoniono się ciszy, zagrzmiął:

— Mes seigneurs et mes reines!... Wiedza i jedzenie, byt i picie to jedno. Zaraz to wytłumaczę... Wiedza czyli wiedzenie znaczy jedzenie w (iele) i w (ybornie...) t/f/... U fait chaud!... Wiedza życia znaczy w-j e d z e n i e się w życie, czyli jego spożywanie... Dalej, mes seigneurs... uff... uff... JE równa się JEst... Jestem, bo w-i e m znaczy: jestem, bowiem jem w-(iele) i w-(ybornie). Wiedzieć i Jeść różnią się tym tylko, że w pierwiastek wiedzy wchodzi i krótkie (w-i-e), a w

pierwiastek jedzenia — j długie (j-e). Ale bo też właśnie wiedzieć się powinno, że prócz wiele i wybornie, należy jeść i długo. Jedzmy, żyjmy!... Uff... U fait chaud!... On m'appelle un trou-dandide — beczką Danaid — n'importe! Je m'en fou! Troudanaide, ęa veut dire du reste que... że jedzenie jest trudem, au moins pour mon compte. N'importe!... Que les autres soient freles comme les anges: moi je mange!... Que les autres dirigent: moi je digere!... Que les autres creent: moi je creve!... Que les autres savent: moi je savoure!... Je m'en fiche de tout pour-vu que j'aie de quoi manger, de quoi boire et qu'on me pousse... La table, voila ma place. J'y sue et j'y ronge... Uff... chaud qu'il fait!...

Tu przerwał i skinął na truchanków. Podbiegło doń kil-, ku, a on truchan garncowy, złoty, od jednego z nich wziął szy, wychylił duszkiem i odsapnął. Impet tchu był taki, że lampka elektryczna, w bukiecie o parę łokci dalej stojącym( zgasła jak knot łożówki. Ze wszystkich ust zerwały się brawa na widok tej tchowej potęgi.

148

— Brawo! Brawo Kał-Dun! — krzyczano. Mówca kłaniał się niedostrzegalnymi kiwnięciami grubego karku i znów podjął.

— Mes seigneurs! Jeżeli komu, to mnie przystoi chwała. Tel que vous me voyez, jem za stu i wiem za stu i za stu piję... Pić....

Tu przerwał i sapnął. Truchankowie myśląc, że pić woła, podbiegli, ale on zamachał na nich dłonią szeroką jak patelnia i mówił:

— Pić!... Słowo to oznacza istotę, środek i pour ainsi dire — cel bytu. Weźmy tylko wyraz BYT i spójrzmy na jego budowę. Na początku litera o dwóch brzuchach — B na znak: jedz za dwóch; w środku litera w kształcie kieliszka, na znak, że centrum życia, istotą jego jest picie. Jedzmy i Pijmy więc! Buvons!

— Więc pijmy! Więc pijmy! — zawołano. — Wiwat Byt!

— Niech żyje Kał-Dun! Niech żyje Kał!

— Niech żyje Dun!

— Mes seigneurs, nie przepoławiajcież mnie tak — zaprotestował Kał-Dun. — Ca me fait souffrir. Pozwólcie mi dokończyć. Otóż wróćmy do bytu. BYT ma na samym końcu literę T, przypominającą krzyż albo szubienicę dwura-mienną. To znaczy, że naprzód, jak się wyżej rzekło, trzeba jeść, aż się dostanie dwóch brzuchów, środek bytu, osnowę jego stanowi picie, a wreszcie wszystko, wszystek byt kończy się symbolem śmierci. Jedzmy i pijmy więc, bo w końcu pomrzemy!... Przy picciu to wina Demokryt wynalazł swój apoftegmat: icówta [js.il Wszystko płynie. Płynmy więc i na dowód, żeśmy dociekli istności BYTu — pijmy!

Kałdun przytłumił dudnienia głosowe i podniósł w górę olbrzymi swój kielich. Nalany złotym winem, mieniący się od blasków, połyskiwał kielich wzniesiony nad stołem niby wielkie Y — istota i środek bytu.

Zerwała się burza oklasków tak rześzystych, że robiły wrażenie kamiennego deszczu, który by na marmurową spadał płaszczyznę. Zdało się, że sklepienia i mury, i kolumny, i posągi w sali biesiadnej porozpadały się na kawałki

149

i z łoskotem sypią się na marmurową posadzkę i zasypują gruzami złote na niej, deptane przez tłum gości sentencje: Non contemptantibus nobis quae videntur sed quae non videntur. Quae enim videntur temporalia sunt quae enim non videntur aeterna.

Sklepienie zwieszało się nad salą w niemym załamaniu. Posągi świętych, do murów poprzykuwane, stały w kamiennej zadumie. Wokół kolumn owijał się dym tytoniowy, plugawiąc ich obłóć, jak pożądanie lubieżne. Opar jodeł, woń kobiecego potu, serów cuchlizna i aromat

kwiatów skłębiły się w pochutliwą, ciężką atmosferę i tak gęstą, że gwóźdź można byłoby w niej utkwic.

— Niech żyje Kał-Dun!

— W górę go!

Panowie co najtężsi rzucili się ku Kałdunowi i usiłowali go dźwignąć. Daremnie. Stał, a raczej siedział, posapując, na swym cokole, jak dąb olbrzymi, rozrosły i opierający się wiatrom chcącym go rozkolebać. Z pomocą panom przyszły damy i paziowie, i trubadurzy, i truchankowie, i służba niższa. Daremnie. Bretnal radził przywołać z korytarzy armię gwoździ-gwardzistów, aby w tył grubasa kłując, zmusili do wstania, ale król sprzeciwił się temu.

— C? a ne va pas! — krzyknął.

Wtedy panowie, odepchnawszy pousse-pousse'ów, jęli Kałduna naokoło sali toczyć z krzykiem i wyciem.

— Niech żyje Kał! Wiwat Dun! Niech żyje Kałdonia!

Wrzask ten, z gardzieli tłumu, jakoby z otworu jednej wielkiej dudy organowej wylatywał, uderzał o nieme posagi do ścian i kolumn poprzykuwane, czepiał się zyrandoli i we wnękę sklepienia wfrunawszy, wibrował tam jako harmonii pełne, melodyjne brzmienie. Tak bowiem pobudowane były nachylenia łuków sklepieniowych, że jakieby-kolwiek ziemskie odgłosy, zglicząc, wpadały w kopułę, to w obszarach jej odzewnych, pięknem formy jej zharmonizowane, dźwięczały jak chór uroczystych, marzeniowych nuceń.

Złocistymi, niezatartymi głoskami lśnił na marmurze iednego z pilastrów napis:

MANE, TEKEL, UPHARSIN.

XXI

W podziemiach zamkowych siedzą więźniowie. Na mocy wyroków królewskich odsiadują karę za występki przeciw zmysłom, których symbolami król przyozdobioną miał koronę. Zmysłów zaś było dziewięć: zmysł kiszkowy, zmysł trzustkowy, zmysł żołądkowy, zmysł korzenny, zmysł winny, zmysł palniczy, zmysł taneczny, zmysł balowy i zmysł kopulacyjny.

Siedzieli więc tu odmieńcy, dziwacy, oryginalni odkrywcy, przechery, marzyciele, fantastycy, poeci zbuntowani przeciwko ustrojowi świata ćwieczkowo-gwoździkowatemu, satyrycy, twórcy nowych wartości i wynalazcy pewnej materii wybuchowej rozsadzającej najbardziej zagwożdżone ustroje społeczne.

Wszyscy ci więźniowie, przez jakąś nieostrożność, przez zdradę lub szpiegostwo społeczne, lub wreszcie przez zbyt jawne wystąpienie antylojalne powpadali w ręce siepaczy bretnalów i zapakowywano ich w podziemia.

Podziemie stanowiła jedna, do olbrzymiej groty podobna, katakumba, mroczna jak otchłań, bo jeno gdzieniegdzie rozwidniana przez maleńki wylot okienny. Całe sklepienie podziemia było wsparte na jednej wielkiej kolumnie, jak drzewo olbrzymie, rozwidlającej się w górze na dwie głowice i tworzącej przez to literę Y.

Wokoło tej kolumny poustawiane były nędzne łożnice więźniów.

Dzień w dzień i noc w noc, mimo grubości sklepienia, więźniowie słyszeć mogli tupot, łomotanie balowe i wiwaty, które się tu, dzięki akustycznemu zbudowaniu sklepie-

150

151

nią, przebijały, gwoli większego udręczenia przestępców. Ale oni mało się tym udręczali, zajęci własnymi myślami lub rozmową.

Po raz nie wiadomo który opowiadają sobie swoje historie, bo za każdym razem znajdzie się coś nowego do powiedzenia.

— Słyszycie? Otwierają wrzeciędzie — ktoś rzekł. Istotnie. Zgrzytnęły kłódki i łańcuchy i rozległ się na marmurowych flizach chód żelaznych kroków. Bretnal wprowadził królewicza z Wezyrem.

— No, moi panicze — rzekł. — Ponieważ nie bawiliście] się na balu, bawcie się tutaj. Jest tu w sam raz atmosfera dla takich bezpasportowych włóczęgów.

Rzekłszy to, oddalił się stukając po flizach żelazny kończynami.

Otoczono przybyszów i zarzucono pytaniami: skąd? co? na długo?

Królewicz nic nie mówił z boleści, Wezyr tylko sobi i innym z urzędu radzić obowiązany, przedstawił si i w krótkości opowiedział im swoją historię: że szukaj; królowny, że jej nie znajdują i że skazani są za przewin następujące:

Tu, dobywszy z kieszeni kopię wyroku czytał: «Na ukaz Jego Zagwoźdżonej Mości, króla Gwoździka Ponieważ królewicz i Wezyr: 1) lekceważą system paszpor towy, 2) zajmują się mistycznościami o niebie i duszy, 3) s: wstrzemięźliwi w jedzeniu i picciu", i paleniu, 4) chimerycznie poszukują królowny, 5) fruują po powietrzu, 6) nii bawią dam przy stole i 7) nie tańczą. Przeto wyżwymienie ni królewicz i Wezyr skazują się na osadzenie in fundo be oznaczenia terminu».

Gdy ten wyrok przeczytał, zaczęli się cisnąć do Wezyr z królewiczem ich koledzy obecni, z najwyższymi objaw\* mi współczucia. Jeden przez drugiego chciał opowiadać im swoją historię. Ustanowiono pewną kolej i zaczął pierwszy! — Ja — rzekł — malowałem takie obrazy, które trzeb, było albo kochać, albo nienawidzić. Spokojnie zachowy-

wać się wobec nich nie było można — spokojnie popatrzeć, odejść i zająć się zuciem. Nie. Patrz, bracie i kochaj, skoro możesz, a nie, to nienawidź i giń! Ginęli też burzuje gwoździki. Burzuj na miłość rzeczy nowych, pięknych oryginalnością zdobyć się nie może, woląc gminność i pła-skość. Nienawidzi więc i ginie, odrzucając piękno. Obrazy moje przedstawiały: Czystość, Milczenie, Świeżość, Pobudliwość, Beznałogowość, Zachwycenie, Tęsknotą, Zadumanie, Energię myśli... Gwoździk tych rzeczy nie potrafi ukochać i nie chce zresztą. On woli sobie lubować się w obrazkach takich jak: nałożnictwo, gadatliwość, szablon, ospałość, zwyczaj, plotkarstwo codzienne, sytość, czynownictwo, czyli hołdowanie czynowi, oraz wymyślanie na wszystko, co pobudza do myślenia. Tedy moich obrazów gwoździki pokochać nie mogły. Jakże często widziałem, jak taki gwoździk popatrzy na mój obraz, popatrzy, rzygnie śliną, wpada w gorączkę, dostaje apopleksji i na śmierć rdzewieje albo się łamie z zawistnej niemocy. On, gwoździk, zespala się tylko z oleodrukami przedstawiającymi «Familiengluck»: pokój stołowy, waza z dymiącą się zupą, na lewo pokój, gdzie widać synka w kasku żołnierskim i córeczkę matkującą lalce; na prawo kuchnia z widzialną połową tęgiej kucharki; Pan siedzi na sofie i czyta gazetę. To szczęście. Innych obrazów gwoździk podtrzymywać nie chce.

XXII

— Ja — rzekł drugi więzień — skazany jestem za pisanie, chociaż pisałem o szczęściu. Nie wykpiwałem go, nie urągałem mu, owszem, zupełnie poważnie pisałem o szczęściu. I skazano mnie.

— Za to? Czy podobna? — zawołał Wezyr. — Może by pan swój utwór zechciał przytoczyć.

— W wyjątkach, niestety, bo całość mi skonfiskowano. Utwór mój zatytułowany był: «Teoria dożywotnego szczę-

152

153

ścia, ułożona dla użytku gwoździków z przyzwoitego towa^ rzystwa, par comtesse Y primo voto YY et nee YYY». Ot<j kilka cytat z tego dziełka:

«Przyzwoity gwoździak towarzyski, un clou, po wyjściu na świat z maszyny, ogładza się, ociera i szlifuje ręcznie aby dobrych manier nabywszy, umiał se faire aimer par les dames (si c'est une dame — pour se faire adorer par les cavaliers). Oto podstawa, Ze bas, szczęścia. C'est qt plus on est bas, plus on est heureux. Parce que voyez ce mot: le BAS. Au commencement une lettre B avec d^o., bedaines: l'une pour digerer les choses, l'autre — pourl procreer les nouveaux etres; au milieu la lettre A pourl dire que l'essence de la vie est l'Amour generateur; enfin\ la lettre S signifie le serpent ou bien la serpentine — sym-, bolę de la sagesse. Marzyciele, Zes pessimistes, każą wznosić się au-deld d'ici-bas. I po co? Le bonheur d'ici-bas, ii n'y c que cela. Le bas może ignorer ten tylko, kto ich rozkoszj nie zaznał...»

Tu słuchacze zaczęli uśmiechać się, ponieważ obłuda w zalecaniu szczęścia, którego treść, środek czy spód, mają stanowić «le bas», uwidoczniła się jaskrawo i dość karygodnie na to, aby autora wtrącić do katakumby.

— «Jakże słodko jest — cytował więzień — pour une dame spełniać swoje posłannictwo życiowe (d'ici-bas) i zadość czynić (zadość? — jamais) — tym podniosłym zadaniom (les fonctions), które przeznaczyła dla niej natura (Ja machine!). Wprawdzie niektórzy (Zes pessimistes) utrzymu-; ją, że nous d'ici-bas, nous ne sommes que les pauvres du-, pes de la nature, mais en ce cas ii nous s'impose d'autantł plus de duper elle-meme, la nature — quoi?). Cette duperie\ c'est du bonheur. Ale ii s'agit nie podlegać rozkładowi ma-rzeniowo-pesymistycznemu. Trzeba umieć zachować zdrowie fizyczne (Zes physique) i moralne (l'optimisme). Une damę powinna tak się względem un cavalier umieć postać wić, aby zawsze to, co stanowi jej „Ze bas”, było pożądanej żeby nie nastąpił nadmiar i przesyt et que s'ensuit — Id ruine du bonheur. Le cavalier ideal nie powinien być gej

154

nieszem (un genie, za to może być ingénieur). Nic bardziej nie monopolizuje (absorbe) un cavalier, jak zamiłowanie rzeczy au de la d'ici bas. Wszystkie jego myśli (Zes forces) są wtedy tam skierowane, a dla jego petite damę, która nie żyje w chmurach, ale na ziemi, pozostają les restes. Sfruując z tych wyżyn (au deZd), rzuca niższemu stworzeniu spojrzenie politowania (un regard hautain), a częstokroć pogardy i zniechęcenia (degout). Pour moi, un cavalier ideal c'est un etre zdrowy normalnie (un etre nor-male) qui s'avoue au choses d'ici-bas. Wszakże w tych rzeczach d'ici-bas mieści się i sztuka, i nauka, i poezja, chociaż nie zgłębiane jusqu'au fond, jusqu'au bas, ale zawsze, w sam raz aby to nie szkodziło szczęściu (sans ruiner le bonheur)». — Tu — wtrącił więzień — autorka podaje wykaz nauk i sztuk, które uważa za nie rujnujące szczęścia. Oto: ...«les sciences amusantes tel que: l'heraldique; la numismatique: la linguistique; la statistique; le photographisme; la mytho-logie (ou bien la mitologie); l'hygiene, l'histoire et le jour-nalisme» ...«les arts optimistes tel que: les pieces du theatre decemment indecentes; les romans anecdotiques avec des adulteres; les panorama's; les operettes; les ballets; les chansons: les collections des objets frivols, des bibelots, des meubles, des robes, des cravates, des rubans, des bijoux des reliures, des boutons, des timbres, des lettres, des apho-rismes etc.; les charades; les devinettes; les actualites; la poesie sur les choses d'ici bas; la danse; le savoir-vivre; les oraisons; le peinturage d'apres modele; le batissage d'apres modele, la sculpture d'apres modele, l'art enfin d'apres modele, et la vie selon ses desirs — voila les ma-nieres d'etre heureux, sans cesser toutefois d'etre un etre des sciences, des lettres et des arts».

Autor umilkł. Milczała i reszta więźniów. Pośród ciszy, z korytarza dochodził stuk żelaznych kończyn wartowni-ków-bretnali. Małeńkie, białe punkciki okien zazierały ku więźniom, jak złośliwie zmrużone oczka szczęśliwców. Olbrzymia kolumna środkowa, przy której siedzieli skupieni, tonęła głowicą w mrocznym stropie. Stamtąd, sponad

155



K

widłowego rozdwojenia jej, dzięki osobliwemu urządzeniu akustyki, słyszeć się dawał tupot, gwar i poszpać balujących dzień i noc gwoździków.

— Z życiem, panowie, z życiem!

— Niech żyje życie!

— Vivent les arts! vivent les sciences! vivent les lettres!

— Vivent les BAS!

— Niech żyje BYT!

XXIII

r

— Ja — rzekł trzeci z kolei więzień — ja, chociaż miałbym prawo do nie wiem jakiej poczystości ze strony wyznawców szczęścia, jednakże i mnie nie darowano. Opiewałem rozkosz.

— Może z ironią?

— Ależ najuroczyściej w świecie. Proszę słuchać:

Rozkosz jest takim rzeczy posięciem, by myślą zbliżać je lub oddalać,

Zawładnij formą, kwiatem istnienia, bo za tą formą, kiedy nią władasz, biegnie życiowy zjaw, jak kochanka za tym, co serce zdołał jej osiąść.

Tajemnej siły pragnij skupienia,  
podobnej sile w ziarnach rodzących.

Sercem bądź czystym, jak środek morza i tak głębokim, jak jego otchłań.

Są różnoplciowe smugi świetlane, które się żenią: miłość kolorów.

Są kochankowie: melodia z wtórem, ton i pieszczący odźwięk oktawy.

Ufnością, której lęk nie pokalał

raduj swe serce; pyłem kwiatowym, którego ranny wietrzyk nie zmasał; traw preczystością po burzy letniej, nim na nich drożny pył jeszcze nie legł.

Raduj muszlowym wnętrzem swe serce, wiedząc, iż żaden wzrok się nie wślizgnął w konchy macicznej głębię tęczową.

W serce weź radość dziecięcą, która jest nieustannym promieniowaniem obrazów żywych, tęczowych iskier.

Pragnij potęgą być, która fali

chwiać się i kłębić kaze, lecz falą chwiejną, skłębioną falą sam nie bądź!

Na żadną z rzeczy nie patrz żałośnie, boś władny mieć ją. albo oddalać myślą, twórczynią powszechistnienia.

•» •

-

— Ależ to jest najczystsze, najpiękniejsze oderwanie się od życia! — zawołał Wezyr z uniesieniem. Inni więźniowie również okazywali najwyższe zadowolenie autorowi. Ten jednak westchnął boleśnie i rzekł:

— Posłuchajcie, co się stało, gdym wiersz ten opublikował. Naprzód, poobrażały się na mnie wszystkie damy żonate, narzeczone lub mające już ideał konkretny. «Jak to? — zaczęły krzyknąć: powiada autor, żeby się radować radością dziecka. Ale żeby tę radość poznać, trzeba dzieci mieć, a żeby dzieci mieć, trzeba się kochać, a żeby się kochać, trzeba się zbliżać, nie myślą, tylko daleko bliżej — ciałem». I zaczęły podjudzać na mnie swych mężów, kochanków lub narzeczonych. Ci ulegli też podjudzaniem swoich «ideałów» i również się na mnie

poobrażali. «Jak to? — zaczął ten i ów krzyżeć: — więc my jesteśmy tymi falami kłębiącymi się, a pan być tą falą nie chcesz? Jak to? więc ja, który kipię, wrę, gadam, narzucam się, rzucam

156

157

się, miotam, badam, szperam, wżeram się w rzeczy, pożeram je, trawię, bałwanę się z życiem, bucham parą i po-1 tem — ja, ten Weltmensch, ten Normdmensch, mam być niższym od pana, który w empire ja ch gdzieś i oderwaniach zatopiony rościsz pretensję do kierowania nami, tymi fa-; lami niby? O hola, panie! Poczekaj!\* To mówiąc siedli i na-: pisali na mnie raport do kancelarii królewskiej, oskarżają- cy mnie o zamach stanu. «Rozkosz w rzeczy poięści u», i «zawładnij kwiatem istnienia», «tajemnej siły pragnij», «pragnij potęgą b y ć» — oto cytaty (mówił\* raport) dowodnie wykazujące zamiar osiągnięcia władzy! królewskiej i detronizowania króla Gwoździka. To główny) punkt. Drugi — niemoralność. Autor (mówi raport) zaleca miłość kolorów. Toż to przechodzi wszelką zbrodnię kazirodztwa, bo kazirodztwo to przynajmniej rzecz namacalnie] realna, a miłość barw — no, to po prostu okropność. Albo miłostki wtóru z melodią. A-t-on vu jamais une chose' pareille? To wariactwo! To zamach na prawdziwy charakter miłości, która powinna być tylko dążeniem do wypro-f dukowania nowych obywateli!...»

Tu poeta westchnął i mówił dalej:

— O tym wszystkim napisano raport, rodzaj recenzji mego utworu, w następstwie której przysłano po mnie bret-ś nali, skonfiskowano mi utwór i wsadzono do katakumb, jako wariata stanu... O, kiedyż, kiedyż przyjdzie czas... kie-j dyż moc ducha, jako zamknięta w ziarnie potęga rozrodna, wybuja, wybujać będzie mogła bez przeszkody? Kiedy duch wykwitnie z fałszów ciała? Kiedyż zabłyśnie słono wolności duchowej? Kiedyż sny duchów powstaną z kwia tów, jak cienie? Kiedyż popłyną girlandy z ptaków w niebiosach, omotane włosami słońca? Kiedyż zakwitną drzewa, szumiące jak dusze?

Tu rozległ się płacz jednego z więźniów, zwanego Sam sonem. Nazwano go tak, ponieważ naczytał się Biblii i zda\*] wało mu się, że jest psalmistą lub prorokiem, osobliwie z, lubił przypowieść o Samsonie. W każdym gwoździku wi> dział Filistyna i gdy był jeszcze na wolności, wszystkie!

napotkanych gwoździków łamał i psuł. Za to go zamknięto. I ten mąż płakał teraz, rozrzewniony słowami poety. Wstał ze swego posłania, obrócił się ku skąpemu świeciłku okna, wyciągnął ręce, jak do modlitwy i zaczął śpiewać:

— O ziemio, ziemio, spalona słońcem, ziemio Helon, Mephaath, Jethnam i Kariothaim!

— I Sanan, i Magdalgad, i Jekthel, i Naama!

— Wszystkie pagórki śpiewały chwałę, wszystkie drzewa polne rękoma klaskały!

— O ziemio Aen i Adullam, i Jephtha, i Enaim!

— Był w tobie krzyk wesela i wołanie radości, i mowa oblubienicy, i chrobotanie żarn, i światło kagańcowe!

— O ziemio Chebbon, i Gabaa, i Eder!

— Młódźbo moja! Synowie bojowiska mego!

— O syny, syny piękne, opasane w biodrach: Nun, Alohes, Phalea, Hazum!

— I Jetur. i Dań, i Sellum, i Kore, i Abiazah!

— I Lód. i Hareph!

— Boleść moja nad boleść, we mnie serce moje żalosne!

— O córko moja śniada, którą opaliło słońce: O Tham-na, Epha, i Achinoam, i Abihail!

— Na pagórkach i drogach, u każdego kołu siadały córki moje śniade: Epha, Jeramel, i Samma, i Abihail!

— Skazili winnicę moje, podeptali dział mój, obrócili część moją rozkoszną w pustynię pustą!

— Boleść moja nad boleść, we mnie serce moje żalosne!

Samson przestał śpiewać. Zrobiło się cicho. Z korytarza dochodził przytłumiony stuk chodu wartujących bretnali. Ze stropu, znad kolumny, jakoby z widłowatego jej rozłamu, dochodził tupot i gwar biesiadniczy.

— Więc panowie, pijmy zdrowie!

— Więc pijmy, więc pijmy!

— Bo jutro pomrzemy!

— Vivent les BAS!

— Niech żyje BYT!

Gwar i okrzyki, jakby przydmuchiwane wiatrem, to

158

159

potężniały, to cichły. Gdy ścichły, Samson uderzył dłonią j w kolumnę i rzekł:

— Nie pierwej zaświeci słońce nad bramą Hananeel aż ta kolumna legnie w gruzach.

To rzekłszy, siadł na swym tapczanie, a widząc, że nikt nie ma ochoty przerywać milczenia, sam zaczął w te słowa.

XXIV

— Był mąż z pokolenia Dań, imieniem Manue. Któregd żonie ukazał się Anioł i rzekł: Poczniesz i porodysz syna. strzeżże, abyś nie piła sycery ani jadła nic nieczystego. I tak przestrzegła. A gdy wypełniły się dni, porodziła syna i nazwała imię jego Samson. A gdy urósł, szedł do Thamnath i ujrawszy niewiastę z córek Filistyńskich, powiedział ojcu swemu: Tę mi weźmij, bo się podobała oczom moim. I gdy szli rodzice jego do Thamnath, aby z niewiastą mó-i wili, zabiezał mu lew młody. I rozdarł lwa jakoby koźlej a tego ojcu i matce nie chciał oznajmić. A po kilku dnił zstąpił, aby oglądał ścierw lwi, a oto rój pszczoł był w pasz-J częce i plaster miodu. Który wziąwszy jadł, i przyszedłszy dał rodzicom, którzy też jedli, a przecie im nie chciał, oznajmić, że miód był z ścierwu. Przyszedł tedy ojciec jego] do niewiasty i sprawił wesele, a mieszczanie onego miejscaj dali mu towarzyszów trzydzieści, żeby z nim byli. Któryn rzekł: Zadam wam gadkę: jeśli ją zgadnicie przez siedem! dni wesela, dam trzydzieści sukien, a jeśli nie zgadnicie, tedy wy mi tyleż. I rzekł im: z mocnego wyszła słodkość. I nie mogli zgadnąć. A gdy przychodził siódmy dzień, namówili żonę Samsonową, że jej wyłożył gadkę, a ona ii-wnet powiedziała. I dnia siódmego rzekli: Co słodsze go nać. miód? a co mocniejszego nad lwa? Który rzekł do nich! Byście byli nie orali jałowicą moją, nie naleźlibyście byli gadki mojej. I szedł do

Askalona, i zabił tam trzydzieści raężów, których szaty wziąwszy, dał tym, którzy byli gadkę zgadli. I rozgniewany bardzo szedł do domu ojca swego. A po niewielkim czasie przyszedł nawiedzić żonę swoją i chciał wnijsć do niej. Któremu ojciec rzekł: Mniemałem, że jej nienawidzisz, a przetom ją wydał za przyjaciela twego. I odpowiedział Samson: Od tego dnia nie będzie na mnie wina przeciw Filistynom, bo wam będę złość wyrządzał. I pojmał trzysta liszek i ogony ich związał, a w pośrodku przywiązał pochodnie, które zapaliwszy puścił w zboże i w winnice, i w oliwnice i ogniem popalił. I rzekli Filistynowie, kto to uczynił? którym powiedziano: Samson, zięć Thamnatczyka. I szli, i spalili tak niewiastę, jak ojca jej. I poraził je Samson porażką wielką i zabił tysiąc mężów. Potem rozmiłował się niewiasty, którą zwano Dalila. I przyjechali do niej książęta Filistyńskie i rzekli: Oszukaj go, a damyć każdy tysiąc i sto srebników. Rzekła tedy Da-lila do Samsona: Powiedz mi, proszę, co jest, czym byś związany wyrwać się nie mógł? Odpowiedział Samson: Gdyby mię siedmią powrozów jeszcze nie uschłych związane, będę słabym jako inni. I tak mu uczyniono. Który zerwał powrozy, jako nici ukręcone z paździerzy zgrzebnych. I rzekła Dalila: Otoś mię oszukał, wždy teraz powiedz prawdę. Której odpowiedział: Gdyby mię związane powrozami

nigdy nie używanymi, słaby będę jako inni. I tak uczyniono. Który porwał powrozy jako nici płótna. I rzekła Dalila: Póki mię zdradzasz? Okaż, czym byś miał być związany. Samson odpowiedział: Jeśli siedm włosów z głowy mojej z nicią osnowaną spleciesz, a gwóźdź w nie obwiniony wbijesz w ziemię, słabym będę. Co gdy uczyniła Dalila, Samson wstawszy, wyrwał gwóźdź z włosami i z osnowa-niem. I rzekła Dalila: Jakoż powiadasz, żebyś mię miłował? Trzykroć skłamał, a nie chciałeś powiedzieć, w czym jest największa moc twoja. A gdy przez dni wiele przy nim tkwiła, czasu odpocznienia nie dając, ustała dusza jego i aż do śmierci się spracowała. Tedy rzekł: Jeśliby mi głowę ogolono, odejdzie ode mnie moc moja i będę jako inni. A tak Dalila uspiła go na kolanach swych i przyzwała

160

\* Ofiara królowny

161

barwiera i ogolił Samsona. I natychmiast moc odeszła ojcj niego. Którego pojmawszy, Filistynowie wylupili mu oczy i wiedli do Gazy, a zamknawszy go w ciemnicy, żarna obracać przymusili. I już włosy jego odrastać poczynają^ A książęta Filistyńskie zeszyli się, żeby ofiarowały Dago-i nowi, bogu swemu, i weselili się, i przykazali, aby Samsoą grał przed nimi, i postawili go między dwiema słupyj I rzekł pacholęciu, który go przyprowadził: Puść mię, ż^: się dotknę słupów, na których stoi wszystek dom, a podepr^ się i trochę odpocznę. I były tam wszystkie książęta Filii styńskie, a z dachu i z sal około trzech tysięcy patrzących na grającego. A on wzywając Pana rzekł: Panie Boże, wspomnij na mnie, a przywróć mi teraz pierwszą moc, abych się za utracenie obu oku jedną pomstą pomścił. I ująwszy oba słupy, jeden prawą ręką, a drugi lewą trzy mając, rzekł: Niech umrze dusza moja z Filistynami. I za\* trzasnąwszy mocno, upadł dom na wszystkie książęta i aa inszy lud, i daleko ich więcej umierając, niżli przed t m żyw będąc, zabił.

XXV

Samson skończył swoją opowieść. Zrobiła ona d2 na wszystkich wrażenie. Wydało im się, że oni wszyscy są jakimiś uwięzionymi moczarnymi, uwięzionymi przez maj szynowo-szablonowy ustrój społeczny, że skupiła ich ti przez bretnali reprezentowana, przemoc brutalna, że przygwoździła ich do tej kolumny potwornej, aby ich gruJ bością i masą kamienną upokarzała, miażdżąc wszelką na] dzieję swobody i zmuszając ku tym sroźszej ich tortun do słuchania wrzasku maszynowych stworzeń, uczującyc| na cześć bożka Dagona.

— O gdyby naprawdę kto z nas był Samsonem biblij nym — rzekł Wezyr.

Słyszając to, Samson wstał ze swego tapczana, odsunij

162

<so od kolumny, potem, na pewnej wysokości, do której bok tapczana dochodził, postukawszy w grube kolumny cielsko, wyjął z niego płaski, o poszarpanym konturze kawałek marmuru, który tak widać szczelnie dawał się w kolumnę wtlaczać, że odnaleźć go bez znajomości sekretu było niepodobna.

Odjąwszy tę pokrywkę, Samson zagłębił w otwór rękę i pocisnął tam coś w środku. Wtedy jedna z tafli marmurowych, przy której więźniowie stali, zaczęła się wolno odchyłać, aż ujrzeli sporą, ziejącą chłodem czeluść.

— Patrzcie — rzekł Samson — to jest wyjście z podziemi.

— Skąd? W jaki sposób to znalazłeś? — wołali zdumieni więźniowie.

— Od kiedy tu jestem, latami szukałem sposobu. Każde zagięcie kreski na marmurze tej kolumny znam. Po nocach śniła mi się, aż odkryłem.

— I niceś nam nie mówił?

— Bo nie wypełniły się były dni.

— A teraz?

— Teraz, kiedy, jak to nam ci dwaj nowi przybysze świadczą — teraz, kiedy szukanie duszy poczytane jest za zbrodnię stanu — teraz czas.

Tu Samson wskazał na otwór podziemny i rzekł:

— Schodźcie. Pójdziecie tymi stopniami aż do końca, potem natraficie na rotundę, a w niej siedm lochów. Pójdziecie tym, który jest siódmy od lewicy, aż wyprowadzi was tam, skąd już możecie odejść na wszystkie cztery strony świata, wolni.

— A ty?

— Ja tu zostanę, aby się spełniło.

— Co?

— Ruina tego zamku, za znieważenie, za znieważenie ducha swobody, za znieważenie tej dawnej świątyni czcią

Dagona.

— Pójdź z nami — rzekł Wezyr. — Niech naszą zemstą kadzie to, że nas tu nie będzie.

163

— Nie — rzekł Samson posepnie. — Wy idźcie, bo żyjecie czym innym. Ja żyłem zemstą i żyję zemstą. Skoro ją spełnię, żyć mi nie trzeba. Bądźcie zdrowi.

— I jakże to chcesz zrujnować ten gmach? Zaliś mo-cen, jak Samson?

Samson milczał i naglił tylko do schodzenia, ponieważ zbliżał się czas zmiany warty.

Zeszli. Gdy już i Wezyr, ostatni, zniknął w otworze, płyta, niby kamienna powieka jakiegoś na chwilę ze snu zbudzonego olbrzyma, znów się zawarła ciężko. Wtedy Samson wydobył z onej wyjmy w kolumnie talizman pergaminowy i zaczął się w niego wpatrywać. Przy słabym świetelku z szybek okiennych, ledwie-ledwie było widać na pergaminie tym trójprofil trzech twarzy połączonych w formie trójkąta. U spodu każdego z trzech boków trójkąta widniał hebrajski napis.

Samson wpatrywał się w ten talizman i szeptał jakieś zaklęcia czy modły.

Słowa zaklęć stawały się coraz żarliwsze. Postać Sam-sona potężniała, aż urosła w słup olbrzymi, który zaczął świecić i śpiewać. Śpiewał:

— O ziemi spalona słońcem, ziemio Helon, Mephaath i Kariothaim.

— Był w tobie krzyk wesela i wołanie radości, i mowa oblubienicy, i chrobotanie żarn, i światło kagańcowe!

— Ziemio Jekthel, i Gabaa, i Eder, i Aen, i Enaim!

— Młódźbo moja! Synowie bojowiska mego! Nun, Alo-hes, Phalea, Hazum!

— I Jetur, i Dań, i Sellum, i Kore, i Abiazah!

— Wszystkie pagórki śpiewały chwałę, wszystkie drzewa polne rękoma klaskały!

— Wszem narodom na urąganie podane ziemie:: Jethnam, i Eder, i Aen, i Delean! ;

— Córko moja śniada, którą opaliło słońce: ThamnaJ Epha, i Achinoam, i Abihail!

— Podeptali dział mój, obrócili winnicę moją rozkosz-] na w pustynię pustą!

164

— Boleść moja nad boleść, we mnie serce moje żalosne!

Śpiew Samsona przeszedł w szlochanie, potem w płacz cichy. Więzień włożył talizman na powrót w kolumnę, wtłoczył w otwór pokrywkę, przysunął tapczan na zwykłe miejsce, legł na nim i wpadł w odrętwienie. Rzekłbyś duch jego wyszedł z ciała i teraz, zamknięty w kolumnie, skupia się w sobie, aby za moment wybuchnąć i rozsadzić kadłub jej, a wraz z nią cały zamek obrócić w perzynę.

## XXVI

Na górnym zamku szaleje taniec. Kłębią się pary, buchają upojeniem, bryzgają skrami spojrzeń, mieniając się, tupiąc i pluszcząc, jak te burzowiny na powierzchni morza rozpląsane, rozchełstane, lśniące, sypkie i kruche, i nieświadome prądów odmetu; — nieświadome, że tam, w głębinach, koral wykonywa nieustanną swoją pracę twórczą, aby po latach — latach urosnąć i wykwitnąć z powierzchni szafiru szkarłatem; — nieświadome, że w przepastnych głębokościach dwie moce płynne, dwa dążenia sprzeczne, dwa żywioły, dwa duchy, dwa światy chwytają się za łby uwłosione modrymi strugami wód, zwierają piersi o piersi i głucho, bezsłownie bój toczą, aż jeden z nich, złamany, zbacza ze swej drogi i daje się ponieść zwycięzcy; — nieświadome, że tam, w podwodnym milczeniu, kędyś w głębiach, przesącza się w ziemię, kropla po kropli, odmet, zwierza jej tajniki głębin, parzy się z jej wnętrzem macicznym, wszczepia w nią żądzę kataklizmu, zapładnia idea przewrotu i odmiany, aż zbuntowane jej łono zadrga i rzygnie lawą niszczącą i płomieniem.

— Ognia! panowie, ognia — krzyczą Wodzi-Reje.

I wre taniec.

Wszystkie gazy, tiule, wetay, muśliny, krepy, kamloty, Jedwabie; wszystkie plisy, fałdy, bufy, bryty, treny i koronki; wszystkie wcięcia, wycięcia, gorsy i ramiona, wszystkie spojrzenia skrawe, uśmiechy obiecujące, dąsy udanej

165

całe chmary zalotnych szeleszczących słówek: wszystko to zwierza się i rozwiera, skupia i rozkupia, wrąc, pieniając się, kłębiąc i szumiąc, jak morza powierzchnia, kiedy na żwiru plażowe nakipi.

I jak morze, kiedy na plaży zakotłowawszy się ścicha na moment, pochłupując i trąc się o okrągłizny kamienne, przed odpływem: tak i tu, w tańcu, nastawała chwila cichsza, niby oddech, niby zastanowienie się hulaszczego żywiołu. A wtedy prowadzący tańce nawoływali:

— Ognia, panowie, ognia!

Z chóru, podobne do rozśpiewanego ptactwa, sfruwały dźwięki orkiestrowe, siadały na białych szyjach i karkach tanecznie i niby rozmachem skrzydeł poruszały włosy na ich wirujących roztańczonych lebkach, Wyraje dźwięków giętkich, furkotliwych, płynnych rozsypywały się, rozlewały wzdłuż i wszerz sal, dyrygowane przez twarde rytmy tak-, tu, który sam, mocny i w sobie odmierzony, nieczułym się być zdawał na melodyjne nuty związki. Ale i takt nawet za-i gubiał się nieraz w tym rozhulaniu, a wtedy sama jem melodia dzika, od taktu wyzwolona, huczała, jak wiatr, załomach i kruzgankach. Upojeni nią tancerze wołali:

— Ognia! panowie, ognia!

I jakby wołany tą komendą, naraz we wszystkich oknach buchnął oślepiający DUCH-PŁOMIENI, rozległ się huk, zamek wstrząsnął się w posadach, zadygotał, jak przyjęciu trucizny, padł i w gruz się rozsypał.

Zginął król Dagon.

I zginęli książęta Filistyńscy.

I zginęła ludu moc.

I zginął Samson. Leżał, przytłoczony cielskiem kolumny] Ze skroni sączyła mu się krew koralowa. Ręce wyciągnięte miał ku niebu, jak w modlitwie, która zdawała się jeszcze na ustach jego błądzić:

— O ziemi, ziemi moja!

— Młódźbo moja, synowie bojowiska mego!

— Boleść moja nad boleść, we mnie serce moje żalodne.

-S • 0

Epilog

Królewicz z Wezyrem i z resztą towarzyszków, idąc podziemiem, szli, szli, aż loch wyprowadził ich na światło dzienne.

Wyszli i stanęli olśnieni.

Przed nimi leżało, dziewiczą piersią ku niebu falując, MORZE.

Girlandy mew przelatywały nad morzem, krzycząc z uciechy, że je omotało włosami SŁOŃCE.

Na wzgórzach brzegowych, oliwne drzewa szeptały liśćmi, w upojeniu, jak DUSZE.

A ponad morzem, ponad mewami i ponad drzewami przezczystym oddechem lazurowym tchnęła SWOBODA.

KONIEC

166